ŁOWIEC POLSKI



Nosorożce. Z filmu „Simba".

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

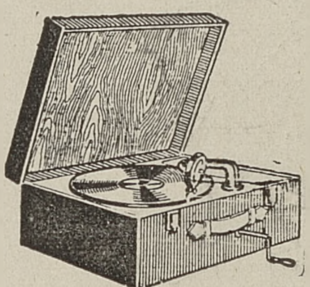
NR. 21 (575). 24 MAJA 1930 R.

Naganki

przy pomocy radjowych

Gigantofonów

PHILIPSA



które jednocześnie mogą służyć przy urządzaniu

Zabaw ogrodowych

(Garden party).

Wszelkich informacji i szczegółowych kosztorysów udziela bezpłatnie

Główny Skład Patefonów

Adam Klimkiewicz

Warszawa, Marszałkowska 154
róg Królewskiej.

UWAGA:
Gramofony, płyty w dużym wyborze.

Aparaty fotograficzne

i PRZYBORY najtaniej kupisz w firmie

„FOTO-SKŁAD" Bielańska 9.

FROM

Kursy Samochodowe dla Towarzystwa Hoża 35

UPOMINKI NAGRODY

dla Pani dla Pana

tylko z prawdziwego bursztynu

„BURSZTYN"

sp. z o. odp.

Warszawa, Marszałkowska 111.

LEŚNIK kawaler,

lat 24, z pięcioletnią praktyką, obznajmiony z hodowlą zwierzyny, prosi o jakiekolwiek zajęcie. Oferty w redakcji „Łowca Polskiego" Dla — D. —

NA RATY I ZA GOTÓWKĘ

Poleca: **meble, otomany, tapczany i kozetki.** Na dogodnych warunkach.

Złota 7/23 w podwórzu. **Telefon 344-69.**

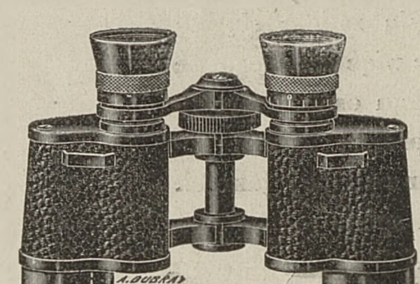
BACZNOŚĆ NA ADRES

WYPRAWA i farbowanie FUTER SYSTEMEM LIPSKIM

Farbuje: lisy na kolory: **szare**, bronz i alaska. **Tumaki, nurki, skunksy, sobole** przyciemnia **na kolory naturalne.** Przyjmuje również wszelkie roboty w zakres **kuśnierstwa wchodzące.**

PIERWSZA WARSZAWSKA
FARBIARNIA I WYPRAWA FUTER oraz **PRACOWNIA KUŚNIERSKA**
Warszawa, Długa № 10 (w podwórzu). **Telefon Nr. 302-49.** **Uwaga! Myśliwym 30% taniej.**

SOLIDNA ROBOTA



LORNETKI PRYZMATYCZNE

„PEPEO"

SĄ DOSKONAŁE, TRWAŁE I TANIE

CENNIK LORNETEK PRYZMATYCZNYCH **„PEPEO"**

Średnica objektywu	22 mm.		26 mm.			32 mm.			43 mm.	
Powiększenie	6×	6× D.O.*)	6×	8×	8× D.O.*)	6×	8×	8× D.O.*)	12×	16×
Współczynnik świetlności	12,25	12,25	13,09	10,24	10,24	25	14,1	15,21	12,25	6,76
Pole widzenia z odległości 1000 m.	135	155	130	120	135	142	115	140	80	60
Waga lornetki w gramach	360	360	535	535	535	810	810	810	950	950
Cena bez futerału w zł.	**155**	**175**	**170**	**175**	**205.**	**245**	**250**	**270**	**290**	**305**
Cena futerału w zł.	**24**	**24**	**28**	**28**	**28**	**32**	**32**	**32**	**37**	**43**

*) D. O. — duży okular.

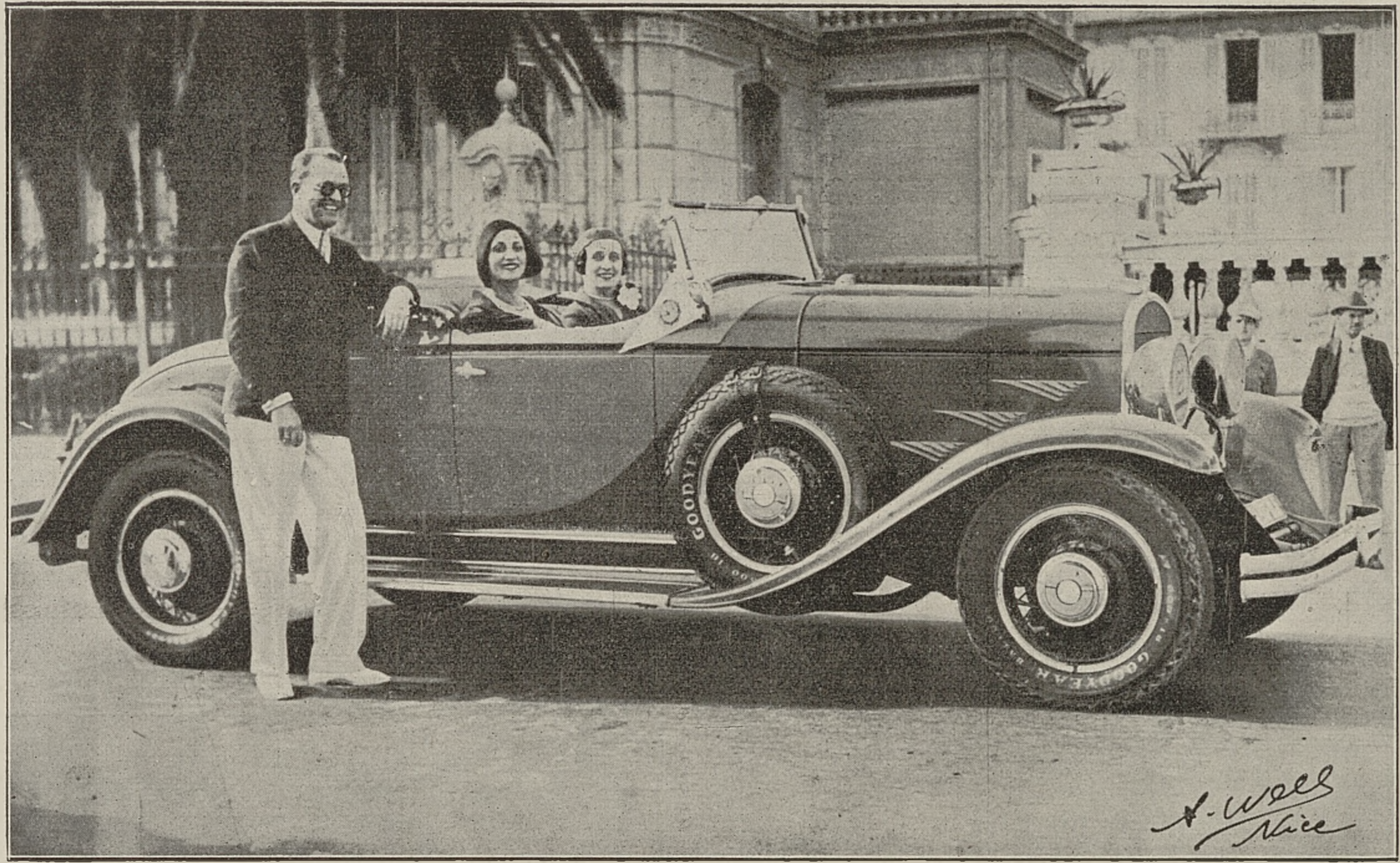
Warunki sprzedaży: na zamówienie lornetki wysyłamy za zaliczeniem. Porto na rachunek kupującego.

Przemysł Precyzyjno-Optyczny
„PEPEO" Sp. z ogr. odp.
Warszawa, ul. Ogrodowa 3, tel. 321-50

Nadzwyczajny wypadek.

Redaktor: — Czemu to pan tak obrażony jest na reportera naszego dziennika?

Amator-myśliwy: — Zważ pan tylko: kiedy niedawno zabiłem zająca, ogłosił to w piśmie jako wypadek nadzwyczajny.


GOODYEAR
A. Wall
Nice



Lew przy zdobyczy. Z filmu „Simba".

W SPRAWIE SIEDZIBY WŁASNEJ POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich (P. Z. S. Ł.) jest jedyną instytucją na ziemiach Rzeczypospolitej Polskiej, mającą na celu całokształt zadań łowieckich, jako to:

1) współdziałanie i pomaganie władzom państwowym do racjonalnego zorganizowania gospodarki łowieckiej, by takową podnieść do najwyższego poziomu i w ten sposób przyczynić się do ekonomicznego wzbogacenia kraju;

2) przygotowanie ogółu myśliwych do ścisłego zachowywania przepisów prawa łowieckiego i trzymania się racjonalnych zasad łowieckich;

3) umoralnianie tych wszystkich, którzy do przepisów prawa łowieckiego stosować się nie chcą lub postępują wbrew niemu;

4) wzbogacanie wiedzy i nauki łowieckiej, oraz rozszerzanie jej przez wydawanie różnych pism, dzieł naukowych, zakładanie bibljotek łowieckich, wspieranie Instytutu Łowieckiego, ogłaszanie konkursów, a także popieranie sztuki malarskiej i rzeźbiarskiej z dziedziny myślistwa i t. p.;

5) udostępnianie i umożliwianie ogromnej części społeczeństwa, pracującej wśród ciasnych i dusznych murów fabrycznych i sal biurowych, użycia sportu myśliwskiego, który, zwłaszcza dla ludzi starszych, niebiorących udziału w sportach młodzieży, staje się zbawiennym, pozwalając im używać ruchu fizycznego na świeżem powietrzu na łonie natury, pobudzając ich energję i siły do życia i pracy, oraz dostarczając doskonałej rozrywki dla ich zmęczonego umysłu;

(Te właśnie dodatnie strony łowiectwa dawno już oceniono na zachodzie Europy i postawiono tam łowiectwo na wysokim poziomie, otaczając je zarazem opieką zarówno państwa, jak i jego obywateli - myśliwych);

6) czuwanie nad racjonalną hodowlą zwierzyny łownej i psów myśliwskich, oraz niesienie pomocy hodowcom, zarówno teoretycznie, jak i praktycznie, i wiele jeszcze innych pożytecznych i celowych zadań.

Widzimy więc, że całość tej pracy jest zadaniem poważnem i olbrzymiem, które ciąży na barach P. Z. S. Ł. i które możliwe jest do wykonania tylko wówczas, gdy ogół myśliwych zrozumie konieczność

współdziałania ze Związkiem i stanie do pracy pod wspólnym sztandarem P. Z. S. Ł.

P. Z. S. Ł., przystępując obecnie do tworzenia nowej, fundamentalnej organizacji, jako organu czuwającego nad całem łowiectwem Rzeczypospolitej Polskiej, pracować musi wspólnemi siłami wszystkich myśliwych i stanowić zarazem czynnik pomocniczy dla państwa, rozwijając i chroniąc jedną z jego gałęzi gospodarczych, t. j. dziedzinę gospodarki łowieckiej.

I dlatego P. Z. S. Ł. zwraca się z gorącym apelem do wszystkich tych, którzy na ziemiach Rzeczypospolitej noszą miano myśliwych i czują się podwładnymi sztandaru Św. Huberta, aby zechcieli dopomódz mu w wykonaniu tego poważnego, użytecznego i celowego zadania, niosąc w ofierze gotowość do czynu i pracy, aby w ten sposób przyczynili się do wzniesienia prawdziwej świątyni łowiectwa polskiego, w której byłoby ono odpowiednio chronione, podnoszone i kultywowane.

Ze szczytów i wież tej świątyni będziemy mogli śmiało i z nadzieją spoglądać w przyszłość polskiego łowiectwa, nie wstydząc się państw ościennych, u których jest ono już obecnie postawione wysoko, o wiele wyżej niż u nas.

By jednak to piękne zadanie spełnić, musi P. Z. S. Ł. zyskać poparcie nietylko od myśliwych należących do Związku, i zrzeszonych, lecz i od ogółu myśliwych. A łącznikiem między Związkiem a ogółem muszą i powinni być delegaci. Od zrozumienia przez nich przyjętych na siebie zobowiązań i wypełniania ich zależy siła, powaga i użytek P. Z. S. Ł. i jego działalność.

Przykłady współpracy i łączności między myśliwymi znajdujemy liczne u sąsiednich państw; wystarczy powołać się na znane przysłowie niemieckie: „Kein Heger — kein Jäger", określające dobitnie i jasno obowiązek współdziałania każdego myśliwego w kierunku podnoszenia i chronienia łowiectwa w kraju.

Twierdzenie powyższe powinno i u nas znaleźć zastosowanie i tkwić w pamięci myśliwych, jako jedno z najważniejszych, pierwszych przykazań łowieckich.

Wszak każdy z myśliwych, mający możność polowania i zbierania trofeów myśliwskich, musi poczuwać się do obowiązku służby względem Św. Huberta i względem matki-przyrody, której zawdzięcza przyjemność łowów i której wyrządza krzywdę, zabierając jej zwierzynę. To też powinien starać się spłacić ten dług przez ofiarność dla niej i dołożenie cząstki swych starań dla polepszenia egzystencji zwierzyny i warunków jej hodowli.

A nie szczędząc swej pracy i ofiar, przyczyni się każdy z myśliwych nietylko do podniesienia gospodarki łowieckiej, lecz także do rozbudzenia w sobie poczucia piękna otaczającej go przyrody, z którą będzie się stykał na terenach łowieckich. A wiemy przecież, iż człowiek w zetknięciu z naturą i jej pięknem przejmuje od niej wszystkie zdrowe i dobre instynkty, i szlachetnieje.

Biorąc pod uwagę to wszystko, co wyjaśniłem powyżej, należy powiedzieć sobie wyraźnie, że do tak poważnej i pełnej znaczenia, oraz odpowiedzialności, pracy, P. Z. S. Ł. musi przystąpić energicznie, realnie i z odpowiedniemi siłami. To też, oprócz pomocy ze strony ogółu myśliwych, musi rozporządzać pewną ilością jednostek, które będą pracowały w tym kierunku stale. Z każdym rokiem liczba ta musi być zwiększana, gdyż zakres pracy będzie wzrastał ciągle, a rezultatów z niej oczekiwać będzie przeszło 100 tysięcy myśliwych polskich, władze w kraju i opinja zagraniczna.

Już w ostatnich czasach P. Z. S. Ł. znacznie rozszerzył swą działalność i dokonał kilku poważnych zadań.

I tak: zorganizował biuro, które pracuje z wielką korzyścią dla łowiectwa polskiego, wyznaczył wielu delegatów powiatowych, w celu propagowania przez nich idei łowieckich, wydaje pismo p. t. „Łowiec Polski", ogłasza konkursy na dzieła naukowe z dziedziny łowieckiej, wydaje książki i broszury traktujące o sprawach związanych z łowiectwem, popiera liczne konkursy dla zachęcania hodowców, rozdając im nagrody za najlepsze eksponaty, walczy skutecznie przeciwko bezprawiu łowieckiemu i t. d.

Z ostatnich zaś, ważnych czynności należy wymienić mianowanie dyrektora P. Z. S. Ł., którego brak dawał się odczuwać dotkliwie. Lecz na wyżej dokonanych pracach P. Z. S. Ł. poprzestać nie może, musi bowiem, wobec rozwoju swej działalności i rozszerzenia zakresu swej pracy, rozszerzyć personel, zarówno kierowniczy, jak i urzędniczy, mianować łowczego P. Z. S. Ł., aby tenże utrzymywał stały kontakt pomiędzy wszystkiemi towarzystwami łowieckiemi, należącemi do Związku, przez odwiedzanie takowych i nawiązywanie z niemi korenspondencji dotyczącej ich działalności, i postarać się o własny, wygodny budynek, którego dotąd, niestety, nie posiada.

Bo chociaż wyżej wymienionych prac P. Z. S. Ł. dokonał w warunkach bardzo trudnych (dwa pokoje kątem w lokalu Polskiego Towarzystwa Łowieckiego Warszawskiego, mieszczące jednocześnie redakcję „Łowca Polskiego", Instytut Łowiecki i T-wo Hodowli Psów Myśliwskich), to jednak warunki takie, jako uniemożliwiające rozwój pracy, musi bezwzględnie zmienić na lepsze, bardziej odpowiadające powadze i zadaniom Związku, aby módz prace swe kontynuować pomyślnie i wykazać swój autorytet.

By umożliwić i ułatwić P. Z. S. Ł. wykonanie tych wszystkich zadań, stawiam następujący wniosek:

Należy — **zapoczątkować realizację idei domu — „Siedziby własnej Polskiego Związku Stow. Łowieckich"** i rozpocząć propagandę w tym kierunku na wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej Polskiej.

Na pierwszy rzut oka wniosek ten jest zbyt śmiały i niemożliwy do urzeczywistnienia.

Jednakże postaram się w niżej zakreślonym projekcie przedstawić jaknajprościej możliwość i sposób przeprowadzenia go.

Otóż proponuję, aby każdy z myśliwych został opodatkowany przez P. Z. S. Ł. niewielką, mającą służyć do zebrania funduszu na dom, kwotą, od każdej zabitej przez siebie sztuki zwierzyny.

Zbieranie tych opłat winno się dokonywać:

a) za pośrednictwem przewodniczących kółek i towarzystw myśliwskich,

b) panów delegatów P. Z. S. Ł.,

c) znanych z energicznej działalności myśliwych, cieszących się ponadto popularnością w kołach myśliwskich.

Zbierający składki powinni być zaopatrzeni w legitymację P. Z. S. Ł. Otrzymują oni kwitarjusz numerowany, z którego wydawać będą pokwitowania za uiszczone przez myśliwych opłaty. Zebraną w ten sposób, w ciągu miesiąca sumę wpłacać będą każdego 30-go na odpowiednie konta do P. K. O., zdając z niej równocześnie rachunek przed odpowiedniemi władzami Związku.

Fundusz, jaki utworzy się z zebranych w ten sposób sum, pozostanie nienaruszalnym do czasu zebrania odpowiedniej sumy na zakup placu pod budowę domu, a następnie — na samą budowę gmachu. Dozór nad tym funduszem i prowadzenie rachunków w związku z jego zbieraniem zostaną powierzone specjalnej komisji P. Z. S. Ł., na ten cel utworzonej, z zastrzeżeniem, iż kapitał ten może być jedynie zużyty do powyższego celu.

Dysponowanie zebranym funduszem może nastąpić dopiero wtedy, gdy na to wyrazi zgodę walne zgromadzenie P. Z. S. Ł.

Na koszty agitacji, druków, ogłoszeń i księgowości, wolno będzie komisji wydawać z uzyskanych sum: — w pierwszym roku 15%, w drugim 7% i w trzecim roku 5%. O dalszym rozchodzie złożonych kwot decydować może tylko ogólne zebranie P. Z. S. Ł.

Corocznie na dzień 3-go listopada, jako na dzień Św. Huberta, będzie sporządzane sprawozdanie z zorganizowanych zbiórek i z ich rezultatów, jak również będzie ponawianą dalsza agitacja. Mam głębokie przekonanie, iż koledzy myśliwi będą się poczuwali do opłacania podatków od zabitej przez nich zwierzyny i że z czasem utrze się wśród nich mniemanie, że myśliwy, który nie będzie się mógł wylegitymować kwitem z opłaconego podatku, nie może być tem samem przyjmowany do towarzystw ani kółek myśliwskich.

Poniżej przedstawiam sposób opodatkowania każdej sztuki zabitej zwierzyny, a mianowicie:

Podatek wynosić powinien mniej więcej:

Od 1 kuropatwy	0,05 zł.
„ 1 przepiórki	0,05 „
„ 1 bażanta	0,10 „
„ 1 głuszca	5,00 „
„ 1 cietrzewia	1,00 „
„ 1 kaczki	0,10 „
„ 1 gęsi	0,50 „
„ 1 słonki	0,50 „
„ 1 bekasa i dubelta	0,10 „
„ 1 jelenia	20,00 „
„ 1 daniela	10,00 „
„ 1 rogacza	2,00 „
„ 1 dzika	5,00 „
„ 1 rysia	10,00 „
„ 1 wilka	5,00 „
„ 1 lisa	2,00 „
„ 1 zająca	0,20 „
„ 1 królika zabitego na nagance .	0,05 „

Prócz tych opłat pobierane będą opłaty od kar za wykroczenia przeciwko prawu i regulaminowi kółek myśliwskich, a mianowicie:

Za zabicie łani	25,00 zł.
„ „ kozy	10,00 „
„ „ kury bażanciej i cieciorki	2,00 „
„ „ głuszycy	10,00 „



Rysie upolowane w lasach maj. Karasin.
(Do art. „Na wilki i rysie").

Fot. J. Skorupski.

Muszę w tem miejscu nadmienić, że P. Z. S. Ł. przez swego radcę prawnego wywalczył zniesienie płaconego dotąd nieprawnie na rzecz gmin „podatku luksusowego" od posiadanej przez myśliwych broni. Tym więc sposobem pozwolił myśliwym oszczędzać corocznie pewną sumę pieniężną. To też, poczuwając się do wdzięczności, powinien każdy z myśliwych, w miejsce płaconego podatku, przeznaczyć część tej kwoty (minimum 5 zł.) rocznie dla P. Z. S. Ł., składając te pieniądze wyłącznie na budowę gmachu.

Wracając do wskazania źródeł dochodów na fundusz dla domu, dodać muszę, iż prócz wymienionych, stałych opłat, przewidzieć można i niestałe, przez urządzanie wystaw, centralnych i lokalnych pokazów rocznych trofeów myśliwskich, organizowanie odczytów, loteryj fantowych na ofiarowaną, żywą zwierzynę, psy i t. d., oraz przez składanie dobrowolnych ofiar ze strony ogółu myśliwych.

Tak przedstawiony wniosek nie wydaje się już niemożliwym do wykonania, a przy dobrych chęciach myśliwych, współpracy i ofiarności — zamieni się napewno w bliską rzeczywistość.

H. KNOTHE.

NA WILKI I RYSIE.

Bezśnieżna zima roku bieżącego nie szczędziła zmartwień na Wołyniu i Polesiu myśliwym, którzy układali projekty polowań na grubszego zwierza, a zwłaszcza na wilki.

Dnie bardzo ładne, ciepłe, słoneczne, a śniegu wciąż niema i niema. Wiele wypraw łowieckich wobec tego było nieudałych lub spełzło na niczem.

Wreszcie dnia 17-go stycznia ziemia okryła się białą szatą. Ponowa!

Na widok jej doznajemy podniety, tylko myśliwym znanej; układamy plany.

Decydujemy z p. K., znanym na terenie Wołynia myśliwym, skorzystać z miłego zaproszenia p. M. Slezkina, właściciela dóbr Karasińskich w pow. Kowelskim, gdzie knieje leśne uchodzą za jedne z lepszych i obfitują w różnego zwierza. Rysie, wilki, dziki!

Celem naszej wyprawy są jednak głównie wilki, których w roku ubiegłym w lesie Karasińskim wylęgły się dwa gniazda, a które stale i teraz nawiedzają swoje rodzinne knieje.

Mamy jechać nazajutrz, by rozpocząć polowanie 19-go.

Nastaje wreszcie upragniona chwila odjazdu, więc obładowani fladrami, wyruszamy w drogę z Łucka via Kowel — Maniewicze.

W Kowlu przyłączają się do nas dwaj pp. S. (ojciec i syn) i w miłem gronie, opowiadając dzieje myśliwskie i układając plany, — z Maniewicz wózkiem wąskotorówki, ciągnionym przez konia, docieramy wreszcie około północy do celu.

Przestępujemy progi dworu Karasińskiego, witani serdecznie przez gościnnych gospodarzy; sypią się pytania, — wszystko dobrze. Zwierzyny dużo.

Dla usłyszenia jednak relacji od gajowych, którzy objeżdżali knieje, prosimy o wezwanie tych, co własnemi oczami ujrzeli tajemnice lasu. Stawiają się Semen i Kondrat, ten sam Kondrat, który doszedł zaszczytu figurowania z rysiem na ilustracji we francuskim tygodniku „Le Journal de Voyage" z dn. 18.X. 28 r. w artykule: La chasse en Pologne.

Składają meldunki ze szczegółami, gdzie jaki zwierz przeszedł, jakie w nocy harce wyprawiał, wreszcie co się w którym ostępie zatrzymało.

W „Zawalonym Lisku" dziś leżało osiem wilków, dwa rysie, dwa odyńce; w „Lisowem" ryś i stado dzików; w „Cwietusie" dziki i t. d. i t. d.

„Zawalony Lisok", — ten sam, co już był opisany w Nr. 9 „Łowca Polskiego" z r. 1928, gdzie padły wówczas dwa rysie, zabite przez członków Wołyńskiego T-wa Łowieckiego w Warszawie.



Wilk upolowany w lasach m. Karasin.
Fot. J. Skorupski.
(Do art. „Na wilki i rysie").

Gospodarz wspomina o tem i wyraża ubolewanie, że opis polowania wtedy nie był dość ścisły, gdyż knieje Karasińskie były podane jako tereny tego T-wa, a również, że zwierzyna strzeżona jest i śledzi się przez straż leśną T-wa, wtedy, gdy strzegli tej zwierzyny tylko gajowi p. Slezkina, a T-wo skorzystało tylko z gościnnego zaproszenia właściciela terenów.

Opowiadaniom gajowych niema końca. Nawet zdrowe nerwy nie mogłyby znieść spokojnie tych wieści z kniei; cóż dopiero nerwy poszarpane codzienną, żmudną pracą biurową.

Idziemy wreszcie spać, lecz sen ulatuje. Myśli przenoszą się do ostępów, gdzie jutro mamy próbować szczęścia i przeżyć nowe wrażenia i rozkosze łowieckie.

O piątej jestem już na nogach, gdyż jadę ze wspomnianymi dwoma gajowymi tropić zwierzynę.

Jedziemy do Zuzanki, domku myśliwskiego i gajówki, położonych wśród lasów, skąd zaczniemy objazd najbardziej pewnych ostępów.

Inni gajowi też śledzą różne części lasu według przydziału, a wszyscy następnie mamy się zebrać w Zuzance, gdzie też przyjadą myśliwi.

Jeszcze noc, świeci księżyc, mroźno. Żwawo biegną poleskie koniki, i suną, postukując o grudę, saneczki, specjalnie wysoko posadzone na płozach dla możności jazdy po bezdrożu, po lesie i przez kępiny błotne.

Wreszcie docieramy do Zuzanki, skąd po wydaniu ostatnich wskazówek gajowym, zapuszczamy się w głębię leśną.

Tropienie jest dość trudne, mamy dziś trzy ślady, a śniegu zbyt mało, na wrzosowiskach nic nie widać.

Okrążamy „Zawalenyj Lisok". Rysie kilka razy wychodziły i wchodziły. Obliczamy ślady. Dwa rysie są w ostępie. Dzików tropić prawie niemożliwe — porobiły całe drogi — zresztą dziś one nas nie interesują. Szukamy wilków.

Te wyszły z ostępu, chodziły na żer w stronę wiosek, wróciły do lasu, rozbiły się na dwie partje, potem znowu się zeszły. Śpieszymy za nimi, wciąż okrążamy, rozjeżdżamy się, zjeżdżamy ponownie, — wreszcie stajemy na granicy lasu Karasińskiego i patrzymy tęsknym wzrokiem w dal, gdzie pociągnęły się sznureczkami do cudzych posiadłości, oświecone słońcem po biocie ślady rabusiów leśnych.

My nie mamy, oni mają szczęście!

Nadziei jeszcze nie tracimy, a może te same lub inne weszły gdzieś z drugiej strony lasu i tropiący tam gajowi coś nam powiedzą.

Śpieszymy na miejsce zbiórki, rozpytujemy się — niestety, wilków niema. Widocznie wyczuły swych wrogów.

Po przekąsce i krótkiej naradzie decydujemy brać „Zawalenyj Lisok", gdzie są rysie i możliwy dzik odyniec.

Jakkolwiek rysie nie zawsze „szanują" chorągiewki, zasłaniamy niemi trochę flanki i stajemy na stanowiskach.

Jest nas pięć strzelb, przyczem bierze też udział w polowaniu p. Marja Slezkinowa, która stoi przy mężu.

Wyciągam numer piąty, staję przy fladrach.

Głos trąbki i rusza naganka.

Miot dość długi, naganka idzie bez zbytniego hałasu.

Krew zaczyna bić silnem tętnem, serce się ściska i tamuje oddech.

Wyprężony wzrok zagłębia się we wszystkie zakątki gęstwiny, szukając tam ruchu.

Czy się pokaże, świecąc kłami, potężny odyniec, czy też przesunie się jak cień, bezszelestnie ten lampart naszych lasów, przepiękny ryś?

Jednak w kniei cisza, nic nie zdradza zbliżania się zwierza.

Naganka dochodzi już blisko, słychać wyraźnie głosy oraz uderzenia kijem o drzewo.

Wtem z lewej strony strzał i znowu zalega cisza.

Napięcie nerwów dochodzi szczytu.

Nagle szmer jakiś po uschłej trawie, ściskam jeszcze mocniej broń w ręku — przyglądam się — lecz to wybiega jarząbek.

Miot się skończył, zbieramy się.

Mój sąsiad, p. K. pięknym i trudnym strzałem położył na miejscu rysia, — ładna, duża samica.

Oglądamy ślady. Oba rysie szły na sznury, ale osobno.

Jeden z nich cofnął się i wyszedł na linję myśliwych, a drugi trafił na chorągiewki, źle w gęstwinie przez gajowych zawieszone; widocznie ich nie spostrzegł, gdyż podszedł spokojnie i równo, i tylko przy samym sznurze dał susa, przesadził go i w susach dalej poszedł z miotu.

Kiedy chorągiewki były zdjęte i jeden gajowy w pół godziny przechodził około ostępu, to ustalił, że ryś wrócił do miotu, skąd został wypędzony, w pobliżu miejsca, gdzie wyszedł.

W tym dniu też mieliśmy jeden oryginalny epizod myśliwski.

Czas jeszcze jest, więc decydujemy zapolować na odyńca, którego w pobliżu otropiliśmy podczas rannego objazdu w małym, porośniętym gęstym, młodym sosniakiem, miocie.



Grupa myśliwych w Zuzance.
Fot. J. Skorupski.
(Do art. „Na wilki i rysie").

Dojeżdżamy, cicho stajemy na stanowisku. Wiatr i kierunek gonu dobry, — dzik powinien wyjść na myśliwych.

Naganka rusza, przechodzi miot, dzika niema.

Sprawdzamy ślady, — dzik w miocie.

Znowu zachodzi naganka, i kiedy ponownie już do nas podchodzi, słyszymy za nią strzał i nawoływania, i cóż się okazuje?

Kondrat szedł za naganką, przyglądając się tropom dzika. i wreszcie ujrzał leżącego w mrowisku, a że naganka już ponownie go ominęła i w tym momencie jużby na linję myśliwych nie poszedł, więc wali z karabinu.

Dzik ani drgnął, — został na miejscu. Ale kiedy go bliżej obejrzano, okazało się, że już uprzednio zginął, a Kondrat trupa ustrzelił. Odyniec przyszedł ranny z sąsiednich lasów, gdzie dzień przedtem polowano — i tu ducha wyzionął.

Na tem zakończyliśmy pierwszy nasz dzień, mając na rozkładzie rysia i trofeum Kondrata.

Drugi dzień polowania był nie mniej dla wilków pomyślnym. Do południa straciliśmy czas na ich poszukiwaniu. Włóczyło się po lesie stado z 5 sztuk — lecz też wyszły po za sferę naszego działania.

Bierzemy miot, gdzie otropiono dziki — te jednak wymykają się nam na flank — widziałem, jak defilowały w gąszczu — lecz nie na strzał.

Ponieważ w stadku był odyniec i inne ładne sztuki, gonimy za niem, w końcu zatrzymuje się ono w tym samym „Zawalonym Lisku".

Drugi ryś od wczoraj z miotu nie wyszedł. Myślimy, że to jest samiec od pary, która została rozłączona, i decydujemy strzelać również do rysia.

Mnie wypada stać na stanowisku, przez które wczoraj przeszedł, i już mam niemal pewność, że nie ominie miejsca, gdzie manewr wczorajszy mu się udał.

Tak też się stało.

Przeżywając emocje, które są zrozumiałe w takich wypadkach, wtedy, gdy naganka zupełnie blisko podeszła, a ja gotów byłem już stracić nadzieję — ujrzałem rysia w całej okazałości, wysuwającego się z gąszczów.

Tego dnia ja byłem królem!

Niestety, to również była samica. Zmartwiony był gospodarz, a ja nie mniej, gdyż przyszły mi na myśl smutne refleksje, że może przyczyniłem się do zbliżenia tej chwili, w obecnych warunkach, zdaje się, już niezbyt dalekiej, kiedy ten piękny i królewski zwierz przestanie zdobić leśne knieje Rzeczypospolitej, a te przez to stracą tyle uroku i wartości pod względem łowieckim.

Nowa Ustawa Łowiecka nie przewidziała terminów ochronnych dla rysia, kwalifikując go jako szkodnika *).

Sprawa, jaki rodzaj zwierzyny łownej nazwać należy większym lub mniejszym szkodnikiem — jest względna. Naprzykład sarna, którą Ustawa uznała za nietykalną, przecież w wielu wypadkach niszczy doszczętnie kultury leśne, uniemożliwiając prawidłowe zalesienia.

Zaliczając jednak rysia do kategorji szkodników, gdyż w pewnym stopniu robi spustoszenia w sarnach, zającach i ptactwie — niewątpliwie należałoby przynajmniej pewne rejony leśne przeznaczyć dla utrzymania w nich tego zwierza, rezygnując nawet z rozmnożenia tam na większą skalę powyższej, drobnej i pospolitej zwierzyny.

Wojewoda poleski, p. J. Krahelski na terenie swego województwa wyznaczył termin ochronny, lecz tego mało.

Mając na względzie, że ryś jest zwierzem wędrownym, trzeba stworzyć większe rezerwaty i wzbronić zupełnie polowania na niego przynajmniej na jakiś określony czas, i ustalić wysokie kary za zabicie.

Wydaje się koniecznem też, i to w czasie możliwie najkrótszym, wyznaczyć wszędzie terminy ochronne, dając rysiom prawo spokojnego lęgu.

Pierwsza wyprawa nasza zimowa do lasów Karasińskich była zakończoną.

W kilka tygodni potem ponownie spadł śnieżek, znowu więc zebraliśmy się w Zuzance, lecz i tym razem niezbyt nam się powiodło z wilkami.

Ponowa była zła, ślady od dni kilku — więc tylko około południa ustaliliśmy miejsce ich pobytu.

I kiedy gajowy poszedł, by obciąć ślady i sprawdzić miot, spotkał już wilki na łące przy lesie, harcujące na słońcu.

Gdy go spostrzegły, weszły do miotu, a gajowy przyleciał z meldunkiem.

Zaczęliśmy szybko zaciągać fladry, lecz miot był wąski; widocznie spłoszone przez gajowego, chodziły po lesie, i słysząc nas, wyszły na naszych oczach wtedy, gdy mało już zostawało do zamknięcia sznurów.

Objechano je znowu, lecz w bardzo dużym, około 4-ch kwartałów kilometrowych, ostępie.

Zmniejszenie miotu z powodu już późnej pory i łażenia wilków było niemożliwe, więc zaciągnęliśmy około 2 km. fladrów tylko z jednej strony i zajęliśmy stanowiska.

Ja stanąłem na prawym flanku przy fladrach, wilki wyszły na lewy flank, lecz bardzo niedogodnie, więc myśliwy, który tam stał, raniąc tylko jednego, zawrócił je do miotu, gdzie też poszły na flank prawy.



Semen, Kondrat i Stepan.
Fot. J. Skorupski.
(Do art. „Na wilki i rysie").

Przedemną przedefilowały rozsypane, jeden nawet na daleki strzał, lecz za gąszczem, tak, że nie ryzykowałem, mając nadzieję, że jeszcze wrócą — bo przy wylocie fladrów postawieni byli specjalnie gajowi, którzy pilnowali, by około sznurów wilki nie wymykały się z miotu, i w ostatnim wypadku je zawrócili.

Przezorność ta dała wyniki — gdyż w krótkim czasie usłyszałem zdaleka hałas gajowych.

Trzy wilki poszły na nagankę, a dwa pozostałe rzuciły się w moją stronę wzdłuż sznurów.

Niezadługo też ujrzałem je, sadzące wprost na mnie.

Szły jednak w znacznej odległości tak, że strzelać można było tylko do jednego.

Strzeliłem pierwszego, ładnego basiora, który zrulował na miejscu — a drugi przerwał przez fladry.

Dziś, kiedy te przygody łowieckie opisuję, na dworze szaleje zamieć — ale spóźniona. Już wiosna.

Według otrzymanych wiadomości przed kilku dniami, jak była ładna pogoda, głuszce grały już dobrze — więc nie czas na wilki, do przyszłego roku niech zostają, a teraz trzeba już myśleć o innych przeżyciach, o tokach wiosennych.

*) Zarzut niesłuszny. Art. 51 p. 1. przewiduje możność wprowadzenia czasu ochronnego w drodze rozporządzenia Ministra Rolnictwa również i dla rysi. Przyp. Red.

Może znowu zbierzemy się w kniei Karasińskiej, gdzie jest też eldorado głuszców. Mało który las nietylko w tych okolicach, ale i na całym obszarze Rzeczypospolitej potrafi takiem bogactwem się poszczycić.

Kiedy p. M. Slezkin wrócił do majątku po zawierusze wojennej, w lesie śpiewały tylko trzy głuszce, a teraz już naprawdę na setki liczyć należy.

Kto je tam zliczy zresztą.

Jest szereg b. dużych tokowisk, a są też w miejscowej gwarze zwane „niepobiedzimyje", t. j. nie do zwalczenia — gdzie wiosną dostać się jest niesposób.

Kiedy na jesieni polowaliśmy z naganką, w każdym miocie moc kogutów leciało, nawet absorbowały bardzo — bo trudno nie przeprowadzić wzrokiem tego królewskiego ptaka, gdy spokojnie planuje nad głową, lub też oderwać oczy od siedzącego o kilkadziesiąt kroków.

Łatwo też jest w takich wypadkach zwierza przeoczyć.

Przypominam, że niegdyś stojąc na jednem stanowisku, naliczyłem zgórą 20 kogutów, które leciały tylko nademną, a leciały też wszędzie.

Taki zwierzostan należy zawdzięczać tylko troskliwej, z zamiłowaniem stosowanej opiece, jaką nad zwierzyną roztacza p. M. Slezkin, prawdziwy i wyjątkowy w obecnych czasach materjalizmu, miłośnik natury i fauny.

Cześć takiemu myśliwemu-hodowcy!

Mielibyśmy dobre zwierzostany, żeby takich właścicieli lasów było więcej.

W. G.

Łuck.



Stado zebr. Z filmu „Simba".

„SIMBA" W POLSCE.

Trzy były filmy egzotyczno-łowieckie, które wywołały zagranicą niepowszednie zainteresowanie świata myśliwskiego. Poświęcono im specjalny artykuł w Nr. 15 — 16 „Łowca Polskiego" roku bieżącego. Dwa z nich Polska już znała. Pierwszy p. t. „Chang" był wyświetlany w Warszawie, a następnie w innych miastach polskich, przed kilku laty jeszcze. Drugi p. n. „Pori" obiegał Polskę stosunkowo niedawno. Obecnie doczekaliśmy się trzeciego, najlepszego, „Simby".

Głosy prasy zagranicznej o „tym trzecim" są pełne adoracji.

„Daily Express" pisze: Scena, w której tubylcom udaje się oszczepem uśmiercić Simbę, jest przepojona realizmem, dotąd w sztuce filmowej nieznanym.

„Morning Post": Nowością dla publiczności Londynu jest walka z lwami na oszczepy, z której tubylcy wychodzą zwycięsko.

„Daily Telegraph":Przedtem nikt nie zdobył się na tyle odwagi, by coś tak pełnego niebezpieczeństw odtworzyć.

„Daily Mirror": Simba pokazuje nam z nadzwyczajnym wprost realizmem życie dzikich zwierząt w dżunglach.

Podobnież prasa niemiecka:

„Neue Zeit": To, co nam ten film daje, jest tak przepotężne, że przyćmiewa wszystko dotychczas widziane. Przed tą pełną napięcia, rzeczywistą sensacją bledną wszystkie, sztucznie wywołane sensacje.

„Deutsche Tageszeitung": Arcydzieło rzadkiej piękności i doskonałości: wspaniała i przepotężna walka tubylców z dzikim zwierzem, dramatyczne i porywające zdjęcia bohaterskiej obrony lwa, sceny, które na zawsze pozostaną w pamięci; bardzo zajmujące, najróżnorodniejsze obrazy z życia zwierząt. Jest to największy z filmów tego rodzaju, jest to twór czteroletniej, wytężonej, pełnej przygód i niebezpieczeństw pracy dwojga największych i najśmielszych podróżników, Marcina i Ossy Johnson! Film, w którym aktorami są zwierzęta rozkoszujące się swoją swobodą, wolnością i walką o życie na łonie natury! Film stworzony pod pretektoratami rządu amerykańskiego i Muzeum Narodowego Amerykańskiego dla badania natury i kultury ludzkiej.

Wśród największych niebezpieczeństw udało się podróżnikom uchwycić na taśmę życie dzikich zwierząt, a w szczególoności lwa, króla dzikich zwierząt, zwanego przez tubylców „Simbą".

Praca Johnsonów w dżunglach trwała przez pełne cztery lata dniem i nocą, a jej owocem jest zużycie na sfilmowanie 60.000 metrów taśmy, przechowywanej w Muzeum Narodowem w Nowym Jorku.

2600 metrów tejże taśmy uprzystępniono publiczności i stworzono z nich przepotężny film.

Simba zapoznaje nas z życiem zwierząt w naturze w najjaskrawszy sposób. Widzimy na łonie natury: słonie, nosorożce, żyrafy, antylopy, krokodyle, zebry, hieny, tygrysy, leopardy, strusie i lwa, dumnego króla zwierząt w całej jego okazałości.

Niebezpieczeństwa, wśród jakich podróżnicy uwiecznili na taśmie te bogactwa natury, są niezwykłe. Aparaty kinematograficzne niejednokrotnie na 10 kroków odległości od dzikiego zwierza były ustawione, by umożliwić uchwycenie zwierza przez objektyw.

Najtrudniejsze było opanowanie polowania tubylców na lwy. Lecz i w tym wypadku odwaga Johnsonów nie zawiodła. Zdołali uchwycić naraz aż 18 lwów w najróżnorodniejszych pozycjach, to walczących, to znów uciekających, w jednej chwili gotowych do napadu na aparat i ludzi, to znów cofających się przed ciężkimi, ostrymi oszczepami.

Żaden film nie pokazał nam lwa w tej okazałości. Żadnemu przyrodnikowi nie udało się dotąd Simby tak wspaniale sfotografować w każdej sytuacji jego życia naturalnego.

Chwilami poprostu wierzyć się nie chce, że zdjęcia, które widzimy, niezwykłe poprostu sytuacje, jak np. ta, w czasie której nosorożec pędzi wprost na operatora, lub, gdy lwica ukazuje się w nocy nad zabitą zebrą, są prawdziwemi zdjęciami, a nie trickami operatorów.

Wprawdzie już poprzednio widziano na ekranach filmy, jak „Chang" Coopera i Schoedsaka, ale „Simba" przewyższa swoje pierwowzory zarówno doborem obrazów, jak i techniką wykonania. Twórcy „Simby" podchodzili z aparatem do najpłochliwszych, najdzik-



Pantera. Z filmu „Simba".

szych zwierząt, chwytając je na objektyw z odległości kilku kroków. Jakże inaczej wyglądają one na swobodzie, na tle dzikiej dżungli, niż za kratami menażerji! Cóż za szczególny widok stanowi np. stado spłoszonych żyraf w pełnym galopie! Albo stado słoni, uciekających przed pożarem stepów. Podziwiamy, przedewszystkiem odwagę pani Johnson, nowoczesnej Diany-łowczyni, która, w naszych oczach, celnym strzałem, z odległości kilku metrów, kładzie trupem olbrzymiego nosorożca.

Publiczność polska wystawiła sobie tym razem dobre świadectwo, śpiesząc tłumnie na film, który nie jest ani romansem salonowym, ani sensacyjnym dramatem, lecz serją kapitalnych zdjęć fauny i flory afrykańskiej z okolic jeziora Tanganyika, z Ugandy i pogranicza Abisynji.

Zdjęcia filmowe dzikich zwierząt na wolności są obecnie bardzo popularne. Filmy przywożone ze Wschodniej Afryki przez specjalne wyprawy kinomyśliwskie, cieszą się ogromnem zainteresowaniem i powodzeniem, nietylko u młodzieży, ale także i u dorosłych. W związku z tem można skonstatować wielki postęp w technice dokonywania zdjęć filmowych zwierząt na wolności. Oglądając te obrazy, odnosi się wrażenie, jakgdyby się było w cudownej krainie Afryki i naocznie podziwiało jej niezliczone bogactwa przyrody.



OSTATNI DZIEŃ SEZONU.

Może gdzieś na szerokim świecie myśliwy, otrzymawszy zaproszenie na łowy, ziewnie w objęciach wygodnego fotela i wraz z wonnym dymem poobiedniego cygara wysnuje niezbędne wnioski: kto prowadzi polowanie, kto na niem będzie, jak się przedstawi przybliżony rozkład i t. p. i ostatecznie zadecyduje — jazda, lub nie! U nas w Zamojszczyźnie przedewszystkiem mówi się — jazda! później zaś, trzęsąc się i kiwając w bryczce, analizujemy ciąg dalszy.

Pochodzi to stąd, że wszelkie polowania są tu mniej więcej jednakowe — mianowicie — elegijnie smętne.

Taszczą cię o świcie sankami w kompanji prawdziwych amatorów poprzez śnieżne równiny ku siwiejącym na horyzoncie lasom; później przez cudowny bór jodłowy, nietknięty, zda się, ani ludzką, ani niestety, zajęczą łapką.

Podziwiasz niebosiężne jodły, poematu godne, pokryte czarodziejską okiścią; dziewiczo chłodne polany i poręby, dające świadectwo lepszych, minionych czasów.

Westchniesz niekiedy, mijając wysoko ścięty pień modrzewia o metrowej średnicy, zastygły w grozie i tężyźnie, śniący, zda się, o ostatnim kudłaczu-niedźwiedziu, który, idąc na wygnanie, otarł się był o jego chropowatą korę.

Znikła już i zatarła się leśna drożyna wśród wertepów leśnych, zdrętwiały ci nogi na kość, zamarzł ci dowcip na sopel gdzieś w piwnicy twej duszy...

Nareszcie koło południa wyciągasz numerek ze skromną i wysoce dwuznaczną cyfrą 27 z czapki przyjemnie uśmiechniętego gospodarza, upewniasz się co do prawomyślności swych najbliższych sąsiadów i... po pewnej sumie wysiłków, nie wierząc własnym oczom, podziwiasz swą bojową gotowość na stanowisku.

Stoisz, wędrujesz na inne, znów stoisz...

O biała ciszo przedwieczna, ciszo podbiegunowa! tak droga i konieczna dla nerwowo chorych i tych, którzy wybierając się w lepsze światy, pragną się z nią zżyć i oswoić.

Nic jej nie naruszy: ani nagły strzał sąsiada, ani owo „duch-duch" dzika lub koziołka, ani łopot skrzydeł jarząbka, ani chrobot choćby wiewiórki w tajemniczym labiryncie obwisłych konarów jodły. Cmentarzysko! Sznur myśliwych, łażących i wzdychających wśród zamarłego lasu przypomina kondukt pogrzebowy, milczący bigos — stypę... po nadziejach łowieckich.

I ten opłakany powrót nocą ku domowi, kiedy każdy przeżuwa w duszy mit o jedynaku-zającu, który jakoby żył, ale wrócił na nagankę, albo (rzadziej) o starym graczu, co to przejechał się wzdłuż omdlałej linji myśliwych i czmychnął w zdrowiu, unosząc nad cąbrem czterdzieści nabojów śrutu wraz z setką przekleństw.

— — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — —

Ale jadąc do starozamojskiego leśnictwa, puściłem to wszystko w niepamięć. Ostatni dzień sezonu! — to raz... W dodatku obręb Rutka, gdzie miało się odbyć polowanie, cieszył się konduitą znośną. Zresztą nadzieja odżywia się byle czem i byle jak: wystarczy jej, niby dromaderowi, garść piołunu i stara miotła, niby kozie żydowskiej.

Wszyscy w komplecie! Mimo grasującej grypy nikt nie zginął, — strzelb szesnaście, jak obszył! Jest p. Wacio z termosem ciepłego mleka, przez ramię, i w stożkowej czapce na sprytnie odgiętych uszkach, jest dr. Prosper w białym chałacie, ze względu na lisa, dzierżący dubeltówkę, sztucer, lornetkę, stołek myśliwski, aparat fotograficzny, trąbkę i nieznanej treści pudełko — zdaje się — z podręczną apteczką i przyborami chirurgicznymi. Jest i gość — elegancki gentelman w fokowem futrze. Długie, piękne futro o szalowym kołnierzu. Uczerniony wąsik, podmalowane policzki — słowem — luksusowy gość! Na taki widok zatrzymują się wszystkie taksówki w mieście i damy, które jeszcze po północy mają pewne interesy do załatwienia. Był to kuzyn żony dyrektora jakiegoś departamentu i jedyny przedstawiciel perskich (prawdopodobnie fałszywych) dywanów na Polskę.

Ale brać łowiecka szybko się oswoiła z egzotycznym „kuzynem" i w oczekiwaniu na naganke zabawiała się wymianą najbliższych wspomnień. Słyszałeś tu i ówdzie:

— A ja go pęc! — przez debrę... jak Pana Boga — dwieście pięćdziesiąt kroków... sam nie mogę uwierzyć po dziś dzień i wcale się nie dziwię, że i wam ciężko uwierzyć. Taka broń!

Tam znów emerytowany sędzia - staruszek, zacietrzewiony dowodzi:

— Zabiłem wtedy zająca — pod słowem honoru! Tylko, że zając po mych strzałach przeskoczył przez rów, a później znów powrócił na moją stronę. Zgłupiał! Potem znowu uciekł przez rów! To ja posyłam chłopaka, żeby go przyniósł. Ten dureń powiada, że zająca niema! Mam się z nim kłócić? Z chłopakiem? Ale zająca zabiłem!

Cztery minuty w absolutnej ciszy — poniekąd zgodnie z tradycją i zimową dekoracją. Myśliwy nabiera możności skupienia się i wejścia w siebie, może np. przymknąć oczy i wyobrazić sobie, coby to był za piękny efekt, gdyby ożyła nagle cała kopa zajęcy, zabitych przezeń, na pomyka jeszcze w październiku! Uderzmy się w piersi i zawierzmy raz, że z pustego nie naleje.

Pan nadleśny, jako gospodarz, objawia pewne oznaki zdenerwowania. Jakżeto? I tu kot wszedł do miotu, i tu, i tu — a tymczasem nic! Dwadzieścia dzików przenocowało w tym właśnie zagajniku! Jeszcze wczoraj meldował Syrokosz, jeszcze...

Tylko kwiczoły, cmokając nad tem wszystkiem, przenoszą się stadkami z sosny na sosnę... lub daleki głos kruka podzwania w mroźnem powietrzu nad zaśnieżonemi porębami z drzemiącym tu i ówdzie nasiennikiem.

Z nudów obserwowałem „kuzyna". Jak to taki pan poluje? Na stanowisku był jak u siebie w domu. Kichał, kaszlał, wycierał nos w jakoweś barwne batysty, długo badał przy pomocy lusterka pewną plamkę na zębie, poczem wyciągnął z portfelu plik weksli...

I na takiego ananasa kiwał właśnie zając. I mówią jeszcze, że kot jest głupi! Otóż twierdzę, że inteligencją przewyższa nieraz myśliwego.

— Pilnuj! — rzuciłem przez zęby.

Gentelman - bywalec chwycił broń i uchylił melonika w moją stronę:

— Dziękuję panu bardzo!

Głos miał dźwięczny i miły, więc zając przystanął na chwilę i posuwał się dalej, jakby zaciekawiony, na sztych. Sprawa przebiegła szybko i normalnie. Dwa gorączkowe strzały, odrzucona broń, rozwiane poły bobrowego futra, kilkanaście tanecznych podskoków i dźwięczne, drgające wyrzutem okrzyki: — A gdzie? A gdzie?

Nic nie pomogło: zając sforsował przejście i wyniósł się, postąpiwszy sobie wbrew przyjętym regułom dobrego tonu. Przy flakach i bigosie nie było o czem gadać. Kogoś tam przypierano do muru za strzał do sowy. Nieborak gęsto się tłumaczył, powtarzając każdemu zosobna, jak stał na stanowisku, mając z prawej strony zwartą drągowinę, a z lewej rzadki zagajnik. Jak naraz zobaczył sowę, która mogła być też jastrzębiem, w tej drągowinie. Gąszcz taki, aż strach. Strzelił dwukrotnie najprawidłowiej w świecie i sowa to zrozumiała, bo obniżyła się o łokieć! A jednak poszła.

Potem musiał wysłuchać admonicji od dra Prospera:

— Właściwie sów nie powinno się tępić. Jest to dla rolnictwa bardzo pożyteczny ptak i chociaż od czasu do czasu zadławi zajączka, to i cóż? Kto ma sumienie absolutnie czyste?

Ponieważ nikt nic nie odpowiedział, więc doktór, trafiwszy w próżnię, wziął się ze zdwojonym ferworem do flaków.

Myśliwi rojem obsiedli sanie. Jedziemy wprost ku różowiejącemu skrawkowi nieba na zachodzie. Konie parskają. Stężał mróz i w nieruchomej tafli powietrza podzwaniają lecące skądciś płatki śniegu. Leciuchno, niby skrzydełka złotych muszek. Mijamy milczące połacie lasów, dążąc ku odległej Huszczce na jakiś specjalny, wyjątkowy miot.

I każdy z nas — wprawdzie po kilku kieliszkach starki — przysiągłby, że i blady księżyc skwapliwie przedziera się wśród gałęzi sosen, pośpieszając na to widowisko. Stoję na stoku wzgórza tuż przy leśnej trybie. Ostatni miot w sezonie, a może i w życiu! Naganka się zbliża. Z obu stron po parze strzałów. To sędzia i podprokurator — moi najbliżsi sąsiedzi — dali sobie dymu. Sędzia spudłował i odrazu w to uwierzył, zaś podprokurator, bardziej z natury podejrzliwy, wybrał się w krzaki na poszukiwania. Już widzę naganiaczy. Wyłażą z różnych punktów mego horyzontu, ubieleni śniegiem, skrzypiąc buciarami i pokrzykując swoje: — ha-ha! Kota ha!

Nie strzelę dzisiaj. — Trudno!

Jakiś wrzask z lewej strony: — nie puść! nie puść! pilnuj! Gąszczem sadzi na mnie zajączek. Śliczny — złoto-szary — jeden z najmilszych! Wydał mi się dziwnie daleki, mały, ruchliwy i upragniony. Już wyskoczył z leszczyn i brzózek na polankę — pęc!... Ach! czemuż to? — zbliża się, rośnie. Widzę jego kosmatą mordkę, widzę oczy rozbiegane z trwogi. Pęc! — misterjum się rozwiało, znikło w puszystym śniegu. Jest — leży!

I powrót. Liljowy akord smutku, niby cień usypiającej w zwodniczym blasku księżyca, sosny, zapadł i zaległ w mej duszy. Ziębnięte, poszerszeniałe konie rwą z kopyta ku dalekim światełkom miasta.

Zamość. EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.

POLOWANIE NA DZIKI Z PSAMI.

Jestem pod wrażeniem świeżo przeczytaiej książki Stefana Badeniego „Szczęśliwe dni". Zgadzam się w zupełności z tem, co napisał o niej w „Łowcu P." Juljan Ejsmond: „Przedziwna prostota, przedziwnie wiernie i pięknie oddana „powszedniość treści". Książka ta wzbudziła we mnie prócz uczucia zachwytu, jeszcze jedno uczucie, a mianowicie zazdrość, iż są u nas jeszcze tacy szczęśliwcy, którzy mogą przeżywać takie dni szczęśliwe, i że są jeszcze w Polsce knieje tak bogate w czarną zwierzynę. Egzotyczne łowy, dostępne jedynie dla specjalnych wybrańców losu, znam tylko z opisów. Czytam je z zainteresowaniem, ale bez zapału, i jakoś mnie dziwnie nie ciągną. Przyznaję, iż te dzikie puszcze i dżungle muszą mieć swój wielki, specjalny urok; że lew, tygrys, słoń i nosorożec to zwierz królewski, lecz droższa i milsza jest dla mnie nasza rodzima knieja, a szczyt piękności zwierza — to ten nasz czarny odyniec, zwłaszcza na białej stopie.

Autor „Szczęśliwych dni" poruszył w swem dziele temat, z którym się ściśle łączą wszystkie moje najdroższe wspomnienia łowieckie, a mianowicie — polowanie na dziki z psami. Zachodzi jednak pewna różnica między polowaniami na dziki w kniei Koropeckiej, a temi, które stanowią dla mnie ideał polowania na tę zwierzynę. Pies na polowaniach w Koropcu odgrywał tylko rolę pomocniczą, a nie był w nich głównym aktorem. To były polowania z naganką, a pies występował jako dzielny pomocnik. Gdyby ten sam „Pikuś" miał przydane sobie do pomocy jeszcze ze dwa dzielne pieski, to obeszłoby się zupełnie bez naganiaczy, bo kilka dobrych dzikarzy śmiało zastąpi najliczniejszą naganke, a zmienia się wtedy i charakter i cały urok łowów.

O ile gon psów, a zwłaszcza granie ogarów w kniei nie wywołuje żadnego zgrzytu dla ucha myśliwego, to dzikie wrzaski naganki brzmią w ciszy leśnej, jako dziwnie przykry dysonans. Im są liczniejsze tropy zwierza na cudnej bieli ponowy, tem knieja większy urok przedstawia, ale zadeptana przez naganiaczy, dziwnie brzydko wygląda. Przypomina mi zawsze świeżo wyfroterowaną posadzkę, po której przeszedł tłum w zabłoconych butach.

Inaczej też wygląda ten sam odyniec, kiedy przed naganką ostrożnie i cicho, jak duch, stara się niepostrzeżenie przekraść przez linję myśliwych, niż ten, co osaczony przez dzielne pieski, przedstawia okaz potęgi i wściekłości, kłapiąc groźnie szablami. Takiego podejść, napaść oczy widokiem tej walki wspaniałej i na zakończenie powalić celnym strzałem, to dopiero szczyt rozkoszy myśliwskiej.



Polowanie z psami na dziki. Fot. Małaczyński.

Przytem polowanie z naganką ma tę słabą stronę, a głównie na czarnej stopie, iż pomimo udoskonalonej broni, ginie moc postrzałków. Na polowaniu z psami, jest to wprost wykluczone.

Zdarza się też nieraz, iż trafi się taki pojedyńczy dzik lub nawet całe stado, na którego wprost niema sposobu, bo naganka okazuje się bezsilną. Dziki tak się uprą, że z gęstwiny wyforować się nie dadzą. Ja osobiście takie zdarzenia miewałem często. Polując

niegdyś na dziki u brata swojego, zastaliśmy całe stado, w biały dzień żerujące na kartoflisku na polu otoczonem gęstym zagajem sosnowym.

Dziki, ujrzawszy zdaleka idących naganiaczy i myśliwych, cofnęły się w zagajnik. Sztuk było kilkanaście, przeróżnej wielkości. Dzięki doskonałej ponowie, przekonaliśmy się łatwo, że dziki wszystkie zatrzymały się w kawałku zagajnika, który miał około siedmiu morgów. Wszystkie przesmyki dzicze w tym lesie były nam obu znane doskonale, więc zdawało się, iż mając dziki otropione na tak małej przestrzeni, spotkanie nastąpić musi. Naganka zaszła od pola, a my zajęliśmy swoje stanowiska. Ledwie odezwała się trąbka gajowego, jako sygnał, że pędzenie rozpoczęte, usłyszałem przed sobą w gąszczu charakterystyczny tupot, i wkrótce wypadł na linję nieduży warchlak. Strzeliłem z rzutu i warchlak w ogniu rulował. Podniósł się jednak szybko na przednie nogi i zaczął przeraźliwie kwiczeć. Musiałem więc natychmiast posłać drugą, tym razem już śmiertelną kulę. Po tych strzałach dziki cofnęły się na naganę. Byliśmy przekonani, że spłoszone dziki przedarły się przez linję naganiaczy i poszły gdzieś daleko.

Wielkie więc było nasze zdziwienie, kiedy objechawszy zagajnik wokoło, przekonaliśmy się, iż całe stado w tym samym miocie pozostało. Wzięliśmy ten miot po raz drugi, a gajowym kazaliśmy strzelać podczas pędzenia, w górę dla postrachu. Słychać było w miocie tupot dziczy, ale na linję dziki nie wyszły. Jeszcze trzy razy powtarzaliśmy ten sam manewr i zawsze z jednakowym skutkiem. Innego sposobu nie było, bo zagaj był tak zwarty, iż idąc z naganką, marzyć o strzale nie można było· Wkrótce zapadający zmrok zmusił nas do odwrotu, a dziki pozostały w swojej fortecy. Podobne zdarzenia miewałem i z odyńcami, o ile polowałem bez psów.

Najwięcej napolowałem się na dziki w Oleszniе ś. p. Sergjusza Niemojewskiego. Był to serdeczny mój przyjaciel i znakomity myśliwy. Miał on liczną i doskonałą psiarnię dziczarzy. Chociaż już sporo lat od tej pory minęło, pamiętam doskonale wszystkie te dzielne pieski, które były stałymi towarzyszami wszystkich naszych wypraw myśliwskich na dziki. Psiarnia ta składała się z kilkunastu psów różnych ras i typów, ale każdy pies odgrywał tam swoją specjalną rolę. Nie będę tu szczegółowo opisywał każdego psa osobno, ale chcę tylko wspomnieć o najlepszych. Dwa zwykłe kundle czarne i dość mizernej budowy, bardzo niepokaźne, nieduże, „Znajduj", „Dzika"; dwa charciki (krzyżówka charta z foksterierem) czarnosrokaty „Bij" i żółtosrokaty „Zabij"; dwa czystej krwi ogary „Zagraj" i „Niechaj" i dwa lub trzy półkrwi ogary — to wszystko były psy czołowe.

Zresztą kompanja ta zmieniała się często, ponieważ coraz to któryś z dzielnych piesków ubywał z szeregu, śmiertelnie cięty przez dzika; a zaraz na jego miejsce wchodził nowy zastępca.

Polowania te odbywały się zawsze w jednakowy sposób. Żadnej naganki, a tylko same psy. Każdy myśliwy miał z sobą konia wierzchowego, który stał uwiązany przy jego stanowisku. W miot puszczano luzem „Znajduja" i „Dziką", a resztę zesforowanych psów prowadzili psiarczyki. Dopiero kiedy się odezwało szczekanie „Dzikiej" lub „Znajduja", resztę psów puszczano, a szczekanie tych psów nie zawodziło nigdy, bo szczekały jedynie tylko na dzika. Głos ten i sygnał niezawodny znały doskonale i inne pieski i usłyszawszy go, pędziły jak szalone, na pomoc swym towarzyszom. Z chwilą kiedy ta cała zgraja dzika dopadła, wtedy zaczynał się koncert prawdziwy, w którym naturalnie swym dźwięcznym i donośnym głosem prym trzymały czystej krwi ogary. Przy cichym, bezwietrznym dniu głos ten słychać było o parę kilometrów. O ile to było stado, lub odyniec, cała walka odbywała się w miejscu. Jeżeli była to mniejsza, pojedyncza sztuka, to często na widok psów ostrym galopem ruszała, szukając ratunku w ucieczce. Wtedy to odgrywały decydującą rolę charciki, bo dzięki swej szybkości, momentalnie dzika dochodziły i szarpiąc zaciekle, zmuszały go do zatrzymania się. Zachowanie myśliwych zależało od zachowania się dzika. O ile się zatrzymał odrazu, wtedy poprostu podchodziło się go, kierując się na głos psów. Gdy uciekał, to mając pod ręką konie wierzchowe, momentalnie dosiadano takowych i galopem podążano za gonem, co chwila nasłuchując, w którą się stronę kieruje. Przy takiej pogoni nieocenione są potężne głosy ogarów, bo zwłaszcza kiedy wiatr szumi, zagłusza kompletnie piskliwe i cienkie szczekanie kundysów. Pogoń ta trwała nieraz i parę dobrych kilometrów, aż wreszcie dzik zmęczony i doprowadzony do wściekłości, zaczynał walkę w miejscu. O ile psów było dużo, a dzik nie był wielki, to często się zdarzało, iż zanim zdążyliśmy dopaść psów, dzik leżał już nieżywy, przez psy zaduszony. Los taki spotykał nawet dwu i trzechletnie sztuki. Bywały jednak i inne — tragiczniejsze zdarzenia.

Najniebezpieczniejszy dla psów okazywał się nie stary odyniec, ale duży wycinek. Jak się trafił taki zwinny „krawiec", to pruł i kaleczył psy niemiłosiernie· Czasem i kilka psów na jednem polowaniu ginęło. Taki właśnie wycinek w moich oczach przeciął sławną „Dziką" tak fatalnie, że mowy być nie mogło o żadnym ratunku, i trzeba było ją w lesie dostrzelić.

Nie jest to łatwa sprawa dostać dobrego dzikarza. Stokroć łatwiej o dobrego wyżła, charta, jamnika lub ogara. Znaleźć jednak można, tylko trzeba chcieć i umieć szukać. Osobiście, choć dziki w swoich rewirach posiadam tylko przejściowe, stale jednak parę dobrych dziczarzy trzymam. Główną zaletą dobrego dziczarza, jest to, aby się inną zwierzyną nie interesował i szczekał tylko na dzika. Pozatem musi to być pies, który pyska nie żałuje, to jest, aby szczekał nietylko wtedy, kiedy dzika widzi, ale również, idąc za tropem ,powinien stale naszczekiwać. Musi być zajadły i wytrzymały, bo dobremu dzikarzowi dzika opuścić nie wolno. Gdzie dzik, — tam i pies: kilometr, dwa, dziesięć, — dystans nie powinien żadnej roli odgrywać, póki tylko sił i głosu starczy.

Mając takiego psa, można być zupełnie pewnym, iż ma się dziewięćdziesiąt procent szans dojścia do każdego spotkanego dzika.

Polując z psami na dziki lat przeszło dwadzieścia, nabrałem już pewnej wprawy w ocenianiu dobrego dzikarza. Poszukuję takich psów po całym kraju i czasem mi się uda coś dobrego nabyć.

Niejednokrotnie próbowałem wytworzyć jakąś specjalną do tego rasę, ale dotąd wszystkie próby zawiodły i doszedłem do przekonania, iż to są zdolności i zalety czysto indywidualne; czasem dziedziczne, ale i to nie zawsze. Najwięcej wrodzonych w tym kierunku zalet mają ogary, a mianowicie: doskonały wiatr, ogromną wytrzymałość, zajadłość i przytem głos donośny. Jednak mają i swoje wielkie wady, albowiem trudno jest znaleźć ogara, któryby się nie interesował zającem, lisem, a głównie kozami. Kto ma liczną psiarnię dzikarzy, ten może z powodzeniem używać do polowań, ogarów i puszczać je dopiero, kiedy kundle dzika znajdą i szczekać zaczną, ale same ogary się do tego zbytnio nie nadadzą. Są wyjątki, ale rzadkie. Sam widziałem takiego ogara czystej krwi, który tylko dzika gonił. Taki ogar już bezwzględnie jest ideałem dzikarza.

Mają swoje wielkie zalety foksteriery, bo są bardzo cięte i zwinne, ale na dużym śniegu z powodu krótkich nóg, zupełnie gonić nie mogą i przytem przeważnie mają głos cienki i piskliwy. Te same wady mają i jamniki. Nadzwyczaj zajadłe są buldogi, ale znów mają słaby węch i są przytem bardzo ciężkie, mało szybkie i prędko się męczą, a z powodu swojej zajadłości mało ostrożne i zwinne, i wielki ich procent ginie przy pierwszem spotkaniu z dużym dzikiem.

Największy procent dobrych dzikarzy rekrutuje się ze zwyczajnych kundysów i owczarków. Bardzo jednak trudno poznać z wyglądu, a nawet charakteru, który to kundel będzie posiadał te zdolności. Nieraz psy bardzo cięte, które swojską świnię walą o ziemię, na widok dzika zmykają jak niepyszne. A mały, niepozorny psina okazuje się dziczarzem pierwszorzędnym.

Najlepsze psy, jakie miałem, to były kundle z domieszką krwi ogara. Ta domieszka krwi ogara poprawia znacznie głos i wiatr, i daje wytrzymałość przy pościgu za tropem. Główną bowiem wadą kundla zwykłego jest to, że choć odważny i śmiało dzika atakuje, ale przy pościgu prędko się zniechęca; i tu jednak nie brak wyjątków. Sławny „Znajduj" był to kundelek zwyczajny, mały, czarny, niepozorny, a tak cichy i spokojny, a przytem apatyczny, iż dzień cały zwinięty w kłąbek, spędzał pod stołem w kuchni. Tak samo apatycznie zachowywał się w lesie, o ile dzików nie było. Szedł zadumany, ze spuszczonym łbem i zdawało się, że marzy tylko o powrocie do domu. Lecz jeśli dziki były i poczuł świeży trop, w jednej chwili przeistaczał się kompletnie. Jakiś dziki zapał w niego wstępował, pędził za tropem jak szalony, i choćby pogoń trwała i kilka kilometrów, nigdy nie ustał, stale był tuż przy dziku, a od zabitego trudno go było oderwać. Długoletnia wprawa i obserwacja pozwala czasem z samego wyglądu wnioskować o zaletach dzikarza. Nie jest to rzeczą nieomylną, ale zdarzyło mi się kilkakrotnie, iż zauważyłem, gdzieś przejeżdżając, na wsi psa, który mię swym wyglądem zaciekawił: jakoś dziwnie wyglądał obiecująco. Wzięty na próbę, nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Bywało jednak i odwrotnie. Obecnie posiadam sześć wcale dobrych dzikarzy: cztery zwykłe kundle i parę dobermanów. Najlepsze z nich są dwa kundysy: czarny, kudłaty „Nieszek" i biały w bronzowe łaty, również kudłaty „Niechaj". Oba te psy nabyte zupełnie wypadkowo. Zauważyłem w tym roku, jadąc obok osady gajowego, dwa psy na łańcuchu, które mię specjalnie zaciekawiły swym wyglądem. Zatrzymałem się zaraz i wypytałem gajowego o wszystkie szczegóły dotyczące tych psów.

Okazało się, iż psy te są jego chowu, że dzika nigdy nie widziały, że za zającami i sarnami nie gonią wcale, ale są znakomite do używania na borsuki.

Opowiadanie to jeszcze bardziej mię zachęciło i przy pierwszej wyprawie na dziki, wziąłem oba te psy na próbę. Nadziei nie zawiodły, psy odrazu szybko dziki znalazły i świetnie trzymały, a kiedy dziki wreszcie ruszyły, bo podejść się nie dały, poszły za tropem bardzo daleko.

Glinów. SEWERYN CICHOWSKI.



Łoś zabity przez M. hr. Potockiego w Norwegji. Fot. M. hr. Potocki.



Na tle konkursu wyżłów dowodnych w Wielkopolsce oraz prób polowych Tow. Hod. psów myśl. w Warszawie.

I.

Gdy się czyta uważnie wszelkie artykuły na powyższe tematy, jakie ukazały się dotychczas w „Łowcu Polskim", aż do Nr. 1 w r. 1930, mimowoli nasuwają się uwagi, któremi pragnę podzielić się z czytelnikami.

Zastrzegam przedewszystkiem, że chodzi mi wyłącznie o dobro rozwoju polskiego łowiectwa, przytem uwagi moje pozbawione są jakiegokolwiek podłoża osobistego.

Uwagi moje dzielą się na dwie części: a) o wyżłach dowodnych i b) o konkursach prób polowych T. H. P. Myśl. w Wilanowie.

Co się tyczy wyżłów dowodnych, t. zw. „Straży Pożarnej", lub z niemiecka „Mädchen für alles", to najwięcej ich znajduje się w zachodniej części naszego kraju. Tam też znajdują one najwięcej miłośników i znawców, którzy najlepiej potrafią ocenić zalety wyżłów dowodnych. W województwach centralnych, a zwłaszcza na Wschodzie, znawców i miłośników wyżłów dowodnych spotykamy niewielu. Niejednokrotnie w rozmowach słyszałem zdanie, że „wyżły dowodne są nam na Wschodzie niepotrzebne, wystarczy mieć dobrego psa w suchem polu".

W numerze 45 „Łowca Polskiego" p. W. Garczyński w artykule swoim wyraża opinję, że wielbiciele psów niemieckich bardzo mało czynią dla swej sprawy lub też nie chcą, czy nie umieją wykorzystać tych możliwości, które stwarza dla nich Wielkopolski Związek Myśliwych, i nie mogą pokazać psów naprawdę godnych uwagi, czy to pod względem zalet wrodzonych, czy też ułożenia.

Opinja ta zdziwiła mnie, wydaje mi się bowiem niesłuszną, chociaż dla p. W. Garczyńskiego jest ona o tyle usprawiedliwiona, że oparł ją widocznie tylko na komunikatach o konkursach, z których wynika, że poziom zalet wyżłów w zachodniej Polsce obniżył się.

W rzeczywistości tak nie jest.

Sądzę, że będę wyrazicielem opinji niejednego menera, gdy powiem, że w Wielkopolsce posiadamy pierwszorzędne wyżły dowodne, lecz nie potrafimy wykazać im ich zdolności przez nieumiejętne organizowanie konkursów. Słusznie zaznaczył p. Garczyński, że na terenie Warszawy dla prób, prowadzonych według regulaminu niemieckiego, niema ani organizatorów i sędziów, ani odpowiednich psów. Inaczej sprawa przedstawia się w Wielkopolsce.

Posiadamy wszystkie, powyższe dane, lecz przyczyną słabych wyników konkursu jest nieumiejętne organizowanie konkursów, zwłaszcza gdy chodzi o wyżły dowodne.

Dla orjentacji pragnę wpierw nadmienić, że z chwilą, gdy swego czasu ks. Ludwik Niedbał odsunął się od urządzania wszelkich imprez i konkursów, sprawa uszlachetniania wyżłów dowodnych rzeczywiście zasnęła; dopiero w r. 1928, dzięki inicjatywie prezesa ppłk. Chłapowskiego, który nie szczędził trudów i kosztów, rozpoczęto urządzać konkursy.

Organizowanie i prowadzenie konkursu wyżłów dowodnych zależy przedewszystkiem od zespołu sędziów, którymi mogą być tylko wytrawni fachowcy, umiejący sami układać psy, a zwłaszcza wyżły dowodne.

Do Komisji Sędziowskiej W. Z. M. należą: generał Unrug, stary fachowiec, sędzia,—kolega ks. Niedbała, pozatem wiceprezes Fr. Unrug, nadleśny T. Metzig, pp. Gozimirski i Wichliński. Wszyscy ci panowie posiadają fachowe wiadomości o wyżłach dowodnych, lecz po za nimi nie widzę w W.Z.M. innych sędziów, którzy mogliby wydawać sąd o wyżłach dowodnych.

Nic więc dziwnego, że konkursy dają słabe wyniki, kiedy nie potrafimy ich odpowiednio organizować i urządzać. ,

Czem wytłomaczyć można np. słabe wyniki pracy za farbą, kiedy na 12 wyżłów tylko 1 dochodzi prawidłowo do sara?

Czem wytłómaczyć fakt, że np. taki „Rej", który w r. 1928 szedł za farbą prawidłowo, otrzymując I nagrodę, w r. 1929 najniespodziewaniej zupełnie przepada? Podobnie przedstawia się sprawa z moją „Ossą",

która podczas prowadzeń próbnych faktycznie nigdy nie zawiodła.

Gdzie szukać złego?

O ile głębiej wnikniemy w regulamin i uważniej zaobserwujemy sposób prowadzenia konkursów i pracę sędziów, wówczas doszukamy się jego przyczyn.

Regulamin głosi: Jeden z sędziów winien być obecny przy zakładaniu tropu sztucznego. Sędzia tak się ustawia, żeby mógł na kilkadziesiąt kroków obserwować kierunek tropu i kontrolować, czy wyżeł dokładnie pracuje na tropie, czy też dochodzi do ubitej zwierzyny, szukając wpoprzek lub przypadkowo, i czy nie narzyna.

A jak w rzeczywistości było na ostatnim konkursie?

Zaobserwowałem dokładnie, że przy założeniu tropu nie było żadnego sędziego, lecz jakiś osobnik z wiadrem farby i kropidłem. Krótko przed otwarciem popisów p. prezes Chłapowski mianował sędzią nadleśniczego Piszczygłowę, przyczem słyszałem następujący djalog, który dosłownie powtarzam:

„Gdy pan będzie sędzią, czy tam wszystko będzie „klapować"?

„O tak, oni tam już wiedzą".

Powiedzenia te dają dużo do myślenia, tem więcej, gdy weźmiemy długotrwałą suszę w r. 1929, a ponadto teren — las iglasty.

Obserwując dalszy przebieg konkursu, zauważyłem, że dwaj sędziowie, zamiast podczas prowadzenia psa za farbą, iść za prowadzącym, wyprzedzili menera, towarzysząc wyżłowi z lewej strony, co przeszkadzało mu w pracy. Ponadto dwaj inni sędziowie wyszli na pewien dystans naprzeciw wyżła, co również nie odpowiada regulaminowi.

Przy zbliżaniu się psa do mety, można było zauważyć całą koronę składającą się z sędziów, a nawet z gości. Zbiorowisko takie nie powinno mieć miejsca, gdyż wyżeł musi pracować w skupieniu i bez przeszkód, które zamącają spokój psa i rozpraszają uwagę.

Jest rzeczą zrozumiałą, że inteligentny pies nawet przy najlżejszem trzaskaniu suchych gałązek, zwraca w tę stronę uwagę, a przez to odwraca uwagę od tropienia.

Gdy zważymy, że wyżeł dowodny nie jest specjalistą tropowym, lecz rzeczywiście wyżłem wszechstronnym (strażą pożarną), łatwo pojmiemy, że niezmiernie ważnym czynnikiem jest stworzenie na konkursach dla pracy wyżła, odpowiednich warunków, a przynajmniej ścisłego przestrzegania regulaminu.

Jako przykład podać mogę konkurs w Iwnie w r. 1928, który dzięki dobrej organizacji dał wyniki zadawalniające, 5 psów bowiem doszło prawidłowo do mety.

Dlaczego jednak w kilka tygodni później na konkursie „St. Hubertus - Verein" w dniu 21.IX.1929 r. wyniki były bardzo złe, gdyż prawidłowo przyszedł do mety tylko 1 wyżeł „Rhyno", natomiast wyżeł „Odin", który przed kilkoma tygodniami w Iwnie doszedł do mety bez zarzutu, w Drzeczkowie doszedł dopiero po kilkakrotnem kluczeniu?

Przyczyną tak mizernych wyników tego konkursu, był przedewszystkiem wybór nieodpowiednich terenów, ponieważ tropy założono w okolicy pełnej jam króliczych, które odwracały uwagę psów od tropów. Ponadto zaznaczyć wypada, że trop sztuczny nigdy nie zastąpi tropu naturalnego i zawsze pozostanie jako trop pomocniczy dla tresury.

Wszak doświadczenia wykazały, że pies pierwszej klasy, który pracował wyłącznie na tropie naturalnym, w wielu przypadkach na tropie sztucznym zaniemówi, ponieważ jego inteligencja pozwala mu przeczuwać podstęp.

Przy egzaminowaniu ciętości pominięto wyżły, co sprzeczne jest z regulaminem wyżłów dowodnych. W Niemczech, naprzykład, zawsze jeszcze ciętość posiada duże znaczenie. Odpowiednia ciętość jest konieczna, gdyż lis lub kot w razie postrzału cierpią męki tak samo, jak zwierzyna lotna.

O ile chodzi o wyroki komisji sędziowskiej, to wyrokom tym nic zarzucić nie można, gdyż oparte były na wynikach konkursu, a sędziowie oceniali na podstawie tego, co widzieli. Podkreślić natomiast wypada, że wyniki konkursu, o ile nie dały rezultatów zadawalniających, to wyłącznie z winy złej organizacji przebiegu konkursu.

Osobiście cieszyło mnie bardzo, że ogólnie uznano „Ossę" moją za wysokiej klasy wyżła, będącego na konkursie najlepszym wyżłem dnia po za pracą na farbę. „Ossa" moja otrzymała bowiem III nagrodę, mając jednakże 100 punktów, chociaż ani jednego punktu za farbę. I premję otrzymał wyżeł, mając tylko 101 punktów, w których się mieści 16 punktów za farbą. II nagrodę otrzymał wyżeł zasługujący przy punktacji ogólnej tylko na 76 punktów, jednakowoż doprowadził po kilkakrotnem kluczeniu do sara.

Klasyfikowanie jest w tym przypadku zupełnie słuszne, gdyż regulamin wymaga, że wyżły I i II nagrody muszą mieć pewną ilość punktów za farbą, chociaż w polu okazują się w punktacji znacznie lepszymi. Jest to jeden z braków niemieckiego regulaminu psów dowodnych.

Wielką bolączką jest również w dziale hodowli, sprzedaży i przy zakupie wyżła, fakt, że nie posiadamy księgi rodowej *) i czas największy, by „W. Z. M." takową założył. Przysłużyłby się wielce przez to „W. Z. M." hodowcom, dając im możność zapoznania się z odpowiednim materjałem hodowlanym, ponadto zahamowałby drogę hodowcom nieuczciwym, których rodowody uważać można tylko za świstki papieru.

Każdy, kto pragnąłby nabyć dobrego psa, powinien przed kupnem zwrócić się np. do „W. Z. M." lub do St. Hubertus - Verein w Poznaniu, które to związki chętnie wskażą odpowiedni materjał do kupna, — a nie kupować wyłącznie na skutek ogłoszeń i korespondencji t. zw. „głuchych wyżłów".

Jeszcze raz zaznaczam, że swoimi wywodami nie chciałbym osobiście kogokolwiek dotknąć, jednakże w imię dobra dalszych konkursów muszę podkreślić, że traktowanie gości i menerów na konkursach pozostawia wiele do życzenia, i to właśnie może zniechęcić do brania udziału w następnych konkursach.

(Dok. nast.).

Poznań.

ROCH NOWICKI.

*) Księgę rodową zakłada w najbliższym czasie Towarzystwo Hodowli Psów Myśliwskich w Warszawie. (Przyp. Red.).

ZE STANDU W MONTE-CARLO.

Stand otwarto d. 26 grudnia r. z. Strzelanie do gołębi z nagrodami otwarto 13 stycznia r. b. Nagrodę „Grand Prix de Monaco" rozgrywano w d. 5, 6 i 7 lutego, pulę zamknięcia — dn. 15 marca.

Tegoroczny sezon wielkich konkursów był niezwykle ożywiony. Organizacja „Sporting Club", którego prezesem jest margrabia de Bremond, spoczywa w energicznych rękach hr. L. de Gramedo i sekretarza generalnego, I. Brousse. Suma nagród wynosi 800.000 franków gotówką, jedenaście złotych medali i 10 przedmiotów wartościowych. Oprócz wielkiej nagrody „Grand Prix de Monaco", wynoszącej 100.000 franków i złoty medal, rozgrywano podług programu nagrody: „Prix de Provence", „Prix de la Rivièra", „Prix de Monte - Carlo", „Prix de France", „Prix Leon Radziwiłł", „Prix de la Cote d'Azur" po 30.000 franków i po złotym medalu lub przedmiocie wartościowym, „Prix de Genève", „Prix de Marchais" po 25.000 franków i po złotym medalu, „Prix du Littoral", „Prix des Alpes", „Prix François Blanc", „Prix de la Condamine", „Prix de la Mediterranêe", „Grande poule d'Essai" po 20.000 franków i po złotym medalu lub przedmiocie wartościowym. Pozatem szereg nagród imion dawnych zwycięzców „Grand Prix": pp. Saavedra, Guidicini, Tholozan, Galetti, Dorlodot, Roberts, Mackintosh, Moncorge, Robinson, Beresford, Fraser, Hoobruck po 15.000 lub 10.000 franków i przedmioty wartościowe.

Warunki wielkiej nagrody są następujące: 12 gołębi na 27 metrów. Wygrywający tę nagrodę po 1920 roku strzelają na 28 metrów. Udział w tej nagrodzie przyjmować mogą strzelcy, którzy brali udział w pięciu nagrodach tego sezonu, i ci płacą po 600 franków wpisowego, w przeciwnym razie płacą po 1500 franków wpisowego; po dwóch pudłach strzelający odpada.

Nagród sześć: 1) 60.000 franków, złoty medal i 40% wpisowego, 2) 20.000 frank. i 25% wpisowego, 3) 8.000 frank. i 15% wpis., 4) 5.000 frank. i 10% wpis., 5) 4.000 fr. i 5% wpis., 6) 3.000 fr. i 5% wpisowego.

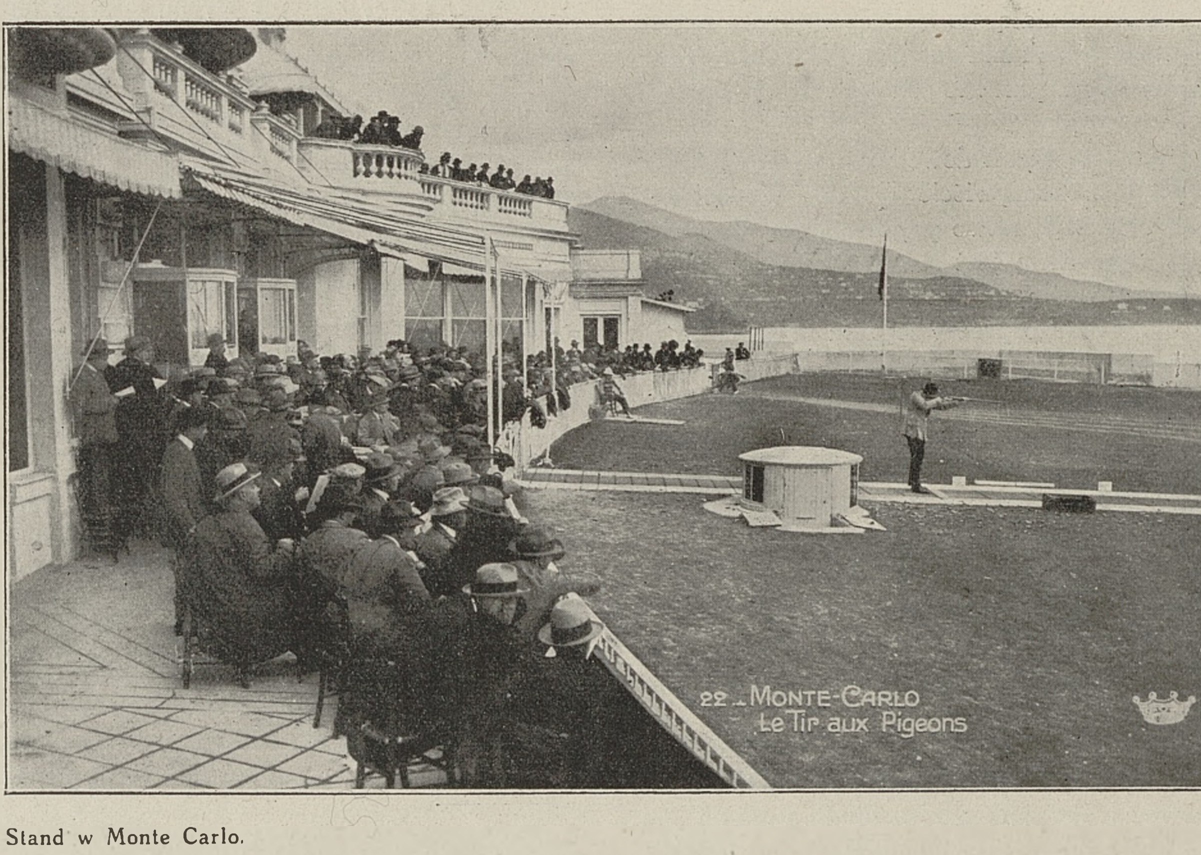
Pozatem rozgrywano jak zwykle, pule dubletowe, jako też szereg zakładów na dowolnych, umówionych metach i warunkach.

Strzelcy, stawający po raz pierwszy do puli o nagrodę Stendu, strzelają z początku na 27 metrów. Komitetowi przysługuje prawo (w zależności od siły strzelca) metę zmieniać: zmniejszać lub powiększać, przy handicapach najmniejsza meta jest 20 metrów, największa 33 metry; deska dystansowa opatrzona jest w podziałki na takie metry.

Do konkursu „Grand Prix" stanęło 141 strzelców. Pierwszego zaraz dnia odpadło po trzech kolejkach 31 strzelców. W ostatnim dniu 13 strzelców miało 11/11, a po 12-ym gołębiu pozostało 6-ciu: czterech włochów, jeden austrjak i jeden niemiec. Przy trzynastym gołębiu podniesiono dystans na 29 metrów, przyczem trzech strzelców odpadło. Na siedemnastym gołębiu utrzymał się M. Buttafava, który został zwycięzcą tegorocznej „Wielkiej nagrody Monaco". Zwycięzca otrzymał 73.992 franków i złoty medal. PP. Paoli i dr. Lumniczer dzielili 61.920 franków, trzech strzelców pp. Morri, Zucchini i hr. O. Czernin (zwycięzca 1908 roku) dzielili 31.768 franków.

Tegoroczny laureat jest podobno wyjątkowym strzelcem, posiada bowiem prócz szybkości i precyzji w strzelaniu, niezwykle zimną krew.

W. SŁONCZYŃSKI.



Stand w Monte Carlo.

DZIAŁ URZĘDOWY.

Z POLSK. ZWIĄZKU STOW. ŁOW.

DELEGACI POWIATOWI.

W dalszym ciągu delegatami powiatowymi Związku mianowani zostali przez Wydział Wykonawczy:

Na wniosek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego pp.:

Dr. Stanisław Langer, Zbyszyce,
Karol Szerauc, Krynica,
obaj na pow. Nowy Sącz, woj. Kr.

Inż. Józef Pindelski, Wadowice, na pow. Wadowice, woj. Kr.

Na wniosek Wielkopolskiego Związku Myśliwych pp.:

Szczęsny Chosłowski, Dzierżanów, p. Kuklin, na pow. Koźmin, woj. Pzn.,

Olgierd ks. Czartoryski, Baszków, p. Krotoszyn, na pow. Krotoszyn, woj. Pzn.,

Łucjan Stryczyński, Zegrowo, na pow. Śmigiel, woj. Pzn.,

Henryk hr. Plater, Góra, p. Żnin, na pow. Żnin, woj. Pzn.

Złożyli mandaty delegatów powiatowych Związku:

w woj. Lwowskiem — pp.: Adam Kwaśniewski, Roman Wolski, dr. Stanisław Łoboś;

w woj. Stanisławowskiem — pp.: Roman Ćwierzewicz, Adam Gorecki, Kazimerz Krzakowski i Zbigniew Winiarski;

w woj. Tarnopolskiem — pp.: inż. Stanisław Goleń, Kazimierz Gołębski, prof. Kazimierz Gorzejowski, Stanisław Samolewicz i dr. Janusz Trzecieniecki;

w woj. Nowogródzkiem — pp.: Leon Protasiewicz i Andrzej hr. Rostworowski;

w woj. Pomorskiem — p. Kazimierz Szulisławski;

w woj. Poznańskiem — pp.: Zygmunt Czarnecki, Janusz Chosłowski, Kazimierz Jaczyński, nadl. Tadeusz Metzig, Tadeusz Sokolnicki i Ksawery Speichert;

w woj. Warszawskiem — p. Antoni Keppen;

w woj. Wołyńskiem — p. Franciszek Skorupski.

Zmarli:

ś. p. Józef Bartmański, delegat na pow. Kamionka Strumiłowa, woj. Tarn.;

ś. p. Władysław Gliński, delegat na pow. Równe, woj. Woł.;

ś. p. Kazimierz Gościcki, delegat na pow. Płock woj. Warsz.;

ś. p. Piotr Łastowiecki, delegat na pow. Rzeszów woj. Lw.;

ś. p. Zygmunt Zawadzki, delegat na pow. Tarnów, woj. Kr.

Zatwierdzone zostały przez Wydział Wykonawczy następujące kandydatury na delegatów powiatowych Związku:

w woj. Białostockiem — p. Ignacy Iglikowski, nadl. Ostrołęka, na pow. Ostrołęka;

w woj. Kieleckiem — p. Jan Lipiński, insp. szk. Włoszczowa, na pow. Włoszczowa.

w woj. Lubelskiem — p. Alojzy Żdernik, Podzamcze, p. Maciejowice, na pow. Garwolin;

w woj. Łódzkiem — p. Sergjusz Bubnow, Kalisz, św. Stanisława 12, na pow. Kalisz;

w woj. Nowogródzkiem — pp.: Bronisław Henszel, Wołdaciszki, p. Raduń;

Juljan Laskowicz, Piatkowszczyzna, p. Zyrmundy;
Aleksander Łobko, Dokudowo, p. Lida, skrz. 14;
Michał Moszyński, Rakiszki, p. Bieniakonie;
nadl. Stanisław Truchanowicz, Lida, Piłsudskiego 4;
wszyscy pięciu na pow. Lida.

Lista kandydatów ogłoszona 1-y raz.

Przewodniczący Wydziału Wykonawczego:
w/z *W. Szperling.*
Sekretarz: *J. Bokiewicz*

Protokuł posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 13 maja 1930 r.

Obecni na posiedzeniu pp.: W. Szperling, mec. W. Garczyński, dyr. B. Gędziorowski, W. Kiltynowicz, H. Knothe, C. Lisowski, mec. A. Tallen-Wilczewski, oraz sekretarze K. Kamieński i J. Bokiewicz.

Usprawiedliwili nieobecność pp.: St. Lilpop, L. Skulski, Wł. Słonczyński i inż. K. Tołłoczko.

Przewodniczył obradom p. Szperling.

Zatwierdzono protokuł posiedzenia Wydziału z dnia 24 kwietnia.

Na wniosek p. Szperlinga uproszono p. dyr. Gędziorowskiego o przyśpieszenie zwołania Komisji dla opracowania schematu kontraktów na dzierżawę terenów łowiecikch, oraz sprawy wykonania medali za zasługi na polu łowiectwa.

Śląskie Towarzystwo Łowieckie, działające na polu łowiectwa ideowo, a więc nieposiadające terenów, wystąpiło z wnioskiem o utrzymanie dotychczasowej wysokości opłat na rzecz Związku od tegoż Towarzystwa, t. j. 5 proc. od wpływów ze składek członkowskich.

Wydział Wykonawczy postanowił prośbę tę przedstawić Zarządowi Związku z opinją przychylną.

Również ideowe Towarzystwo Hodowli Psów Myśliwskich złożyło podanie o całkowite zwolnienie od opłat na rzecz Związku. Wydział jednak, po porozumieniu się z prezesem tego Towarzystwa, p. Garczyńskim, postanowił złożyć Zarządowi wniosek o zredukowanie opłat od Tow. Hod. Psów Myśl. do 5 proc. od składek członkowskich.

W związku z zatwierdzeniem porządku obrad Walnego Zgromadzenia Przedstawicieli Towarzystw, Wydział Wykonawczy uprosił pp.: Garczyńskiego i Gędziorowskiego o opracowanie aktualnego referatu z dziedziny łowiectwa. Referat ten wygłoszony zostanie po wyczerpaniu porządku dziennego Walnego Zgromadzenia.

Przyjęto do wiadomości odpis listu kancelarji do pp. wojewodów, zawierającego prośbę o nadsyłanie rozporządzeń, dotyczących zmian terminów ochronnych na zwierzynę łowną w celu zamieszczania w „Łowcu Polskim".

Wydział Wykonawczy przyjął wreszcie do wiadomości nadesłany przez Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego protokuł konferencji w sprawie narodowych i międzynarodowych zawodów w strzelaniu.

Przewodniczący: W. SZPERLING.

Sekretarz: J. BOKIEWICZ.

Z WIELKOPOLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚL.

Biura W. Z. M. zostały przeniesione na ul. Fr. Ratajczaka 17, II p., tel. 5997.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE

— Ze zwierzyńca poznańskiego. — Młode pokolenie ze świata zwierzęcego w dniu 30 kwietnia powiększyło się przez narodzenie młodego bizona amerykańskiego. Ojciec młodego bizona spogląda z ukontentowaniem w stronę młodego, pomrukując i pobekując radośnie; matka z powagą pilnie strzeże swoje „niemowlę", nie odstępując go na krok. Młode tygrysy hasają swobodnie po trawniku, wykonując pocieszne skoki, którym z za krat przyglądają się rodzice. Zajmująca jest także parka młodych owiec grzywiastych na sztucznem alpinarjum.

— **Tygrys p. Domaniewskiego.** — Pisma rosyjskie donoszą, że do Leningradu przybyła po kilkumiesięcznych trudach myśliwskich, ekspedycja naukowa amerykańskiego profesora Mordenna, który otrzymał specjalne pozwolenie rządu sowieckiego na zbadanie tajg syberyjskich. W ekspedycji uczestniczył młody uczony, polak amerykański, Domaniewski, któremu udało się upolować tygrysa północnego, wagi 250 klg.

Wiadomości handlowe.

✕ **Z hodowli skunksów.** — Wobec stałego popytu na skórki skunksów, hodowcy zwierząt futerkowych zorganizowali hodowlę tych zwierząt, które łatwo rozmnażają się w klatkach, i łatwo je żywić, są one bowiem wszystkożerne. Pewną trudność stanowi tylko jeden szczegół, a mianowicie, zwierzęta te posiadają specjalne gruczoły, z których przy podrażnieniu zwierzęcia, wytryskuje obrzydliwie cuchnąca ciecz (stąd nazwa skunksa — śmierdziel). Praktyka jednak wykazała, iż gruczoły wspomniane można drogą łatwej operacji usunąć już u sztuk młodych, co bynajmniej nie wpływa w dalszym ciągu na rozwój i użytkowość tych zwierząt.

✕ **Futra we Francji.** — Z powodu urządzenia targów dorocznych w Ljonie we Francji, fachowcy wyrażają nadzieję, że punkt główny handlu futrami może się przenieść z Lipska do Francji..

Na targach tych były wszelkie gatunki skórek futerkowych i konfekcji z tychże, począwszy od tanich imitacyj ze skórek króliczych, do drogich, srebrnych i niebieskich lisów i gronostai.

Zauważono, że dzisiejsza moda nie zadawalnia się naturalnym kolorem, nawet szlachetnych futerek, to też przemysłowcy uciekają się do dalszego ich uszlachetniania, przy pomocy barwika. I tak np. lis zwykły, bronzowo-żółty, imitowany jest na lisa srebrzystego, niebieskiego lub „krzyżowego"; z oposa amerykańskiego robi się kunę i t. d. Króliki imituje się na tchórze, kuny, bobry i t. d.

Porównywając imitacje ze szlachetnemi futerkami, trudno nieraz dostrzec różnicę, i dopiero przy badaniu samej skórki, włosa czy innych cech, można określić jakość. Na dystans kilku kroków, odróżnienie jest prawie niemożliwe.

Ze względu na swoją taniość w porównaniu do futerek szlachetnych, i coraz mniejszą podaż tych ostatnich, a tem samem wygórowaną cenę, imitacje znajdują coraz więcej nabywców.

Jako materjał do imitacyj, widzianych na Targach Ljońskich, służyły: a) króliki francuskie, duże, o puszystym, dość dużym włosie; b) króliki australijskie, szare, włosie krótsze, mniej puszyste, o dużej zawartości włosów sztywnych i twardych; c) króliki chińskie, małe co do rozmiarów i o włosie rzadkim; d) zające, przeważnie rosyjskie, o puszystym włosie i dobrej, delikatnej skórce; e) wszystkie półszlachetne i nawet szlachetne surowce na bardziej wartościowe futerka, jak np. oposa amerykańskiego na kunę, lub lisa zwykłego na srebrnego.

Cena imitacyj króliczych wynosiła na Targach od 25 — 160 zł. za tuzin. Fabryki francuskie, przyjmujące towar do przerobienia, pobierają za wyprawienie surowej skórki króliczej, bez farbowania, od 40 — 60 groszy, a za farbowanie i imitację od 60 gr. do 2.20 za sztukę.

SPROSTOWANIE.

Pod ilustracją na okładce Nr. 20 podpis powinien brzmieć: „Fot. inż. Leśniewski".

PRENUMERATA: Żgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za powtórny numer — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Drobne ogłoszenia: wiersz 1 zł. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobode czynienia z nich poprawek i skrótów. Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.—Redaktor przyjmuje w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem. Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stow. Łowieckich.**





Strzelająca laska.

Pan Natan Lewi spaceruje po lesie. Nagle z gęstwiny wyłania się wilk. Pan Lewi z przerażeniem podnosi laskę i woła: „Bu! Bu!" Wtem huknął strzał i wilk pada, bo jakiś strzelec przypadkiem znalazł się w pobliżu. Pan Lewi z podziwem ogląda swą laskę i rzecze: „Dziesięć lat mam tę laskę i wcale nie wiedziałem, że jest nabita!"

ZAKŁADY AMUNICYJNE

Znak Fabryczny

„POCISK"

SPÓŁKA AKCYJNA

URZĄDZAJĄ

W DNIACH 8, 9, 10 i 11 CZERWCA 1930 R.

WIELKIE ZAWODY STRZELECKIE

DO TALERZYKÓW

NA WŁASNEJ STRZELNICY W REMBERTOWIE POD WARSZAWĄ:



KOMUNIKACJE:

TRAMWAJOWA — LINJE 24, 24A; KOŁOWA — ul. GROCHOWSKĄ i DALEJ SZOSĄ oraz KOLEJOWA Z DWORCA WSCHODNIEGO

INFORMACJI UDZIELAJĄ:

F-ma „R. ZIEGLER" Tel. 69-81 i 21-94

F-ma „H. SAWICKI i S. CZERSKI" Tel. 38-03

F-ma „J. SOSNOWSKI" Tel. 47-47

SZEREG CENNYCH NAGRÓD DO ROZSTRZELANIA

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.